№ 35 Warszawa, dnia 15 (27) Sierpnia roku 1881.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

AUTOR „WOJNY CHOCIMSKIEJ"

WACŁAW SZRENIAWA POTOCKI.

PRZEZ

Wiktora Czajewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Królewicz potwierdził rozporządzenie Chodkiewicza.

Rozwścieklonego Turka, którego na wieść o śmierci Chodkiewicza wywiódł sam Osman do boju padło ośm tysięcy. Pierwszy raz sułtan zapragnął pokoju. Turcy z radością i okrzykami przyjmowali posłów polskich, którzy mieli pośredniczyć i dyktować warunki.

Ironiczną a zarazem bardzo gorzką prawdę wystosował tu autor do króla, oto ten ustęp:

Bywaj, bywaj Zygmuncie, a za niedziel cztery,
Rozłożysz w pod Dunaju swoich wojsk kwatery;
Bywaj i orłem przeleć, można-li Podole —
Zdarzy Bóg, że na wiosnę ujrzysz się w Stambole,
Ale cię Lwów, przez dzięki, Lwów nieszczęsny trzyma,
Wolisz niż ręką, wojnę prowadzić uszyma,
I siedząc w pokoju za dwudziestą milą,
Słuchać, rychło się Turki z Osmanem wysilą.
Czy nie chcesz, czy się boisz... Czyliż to oboje?
Puść przynajmniej rycerstwo pod chocimskie boje,
Albo już siedź, na późne czekając powiaty,
Aż nas miasto wygranej zapadną traktaty?

Żurawiński, Trzelatkowski i Sobieski poszli traktować o pokój — do którego jeszcze mroźna jesień nagliła sułtana. Rozdrażniony sułtan, napada raz jeszcze na obóz polski, ale rozbity cofa się.

Jeszcze jedna myśl przychodzi mu do głowy, a tą jest, aby zabrać Kamieniec i w nim przezimować. Prowadzi więc swoje wojska pod Kamieniec, odległy o dwie mile od Chocima, ale tegoż samego dnia cofa się zobaczywszy niezdobyte owarowane samą naturą jego mury. W drodze podchodzi jeszcze pod Panowce, pałacyk Potockiego, ale i z tamtąd wystrasza go strzał armatni tak wymierzony, że o mały włos nie przyprawił o śmierć sułtana.

Nie udaje się i Raułowi wraz z Wewelim oszołomić polskich posłów i wytargować na nich jakąkolwiek bagatelkę. Wreszcie proszą już tylko o to, żeby król posłał dary dla sułtana.

Ale i to nie dało się wyjednać. Polscy posłowie odpowiedzieli hardo, że wolą przyjść do ostatniej szkody, niż dawać upominki lub haracze.

Stanął więc traktat, a głównym negociatorem pokoju był Sobieski Jakób, ojciec króla Jana.

Wszyscy z nowego pokoju byli zadowolnieni, okrom jednego Osmana I i króla Zygmunta III. Pierwszy ledwie że nie upadł po przeczytaniu traktatu, ze swego siedzenia.

Drugi, kiedy go wieść doszła we Lwowie, gdzie czekał ze stu tysiącami zbrojnego rycerstwa, na dalsze wielkopolskie powiaty, z rozpacy i z udanej złości rzucał kapeluszem o stół i chciał doganiać wracającego Osmana, aby mu wydać ostateczną walkę.

Śmieje się z niego Potocki, mówiąc: że w duchu był bardzo rad, iż się tak skończyło.

— Nie tobie! nie tobie, Zygmuncie leniwy,
Do takiej wysokiej trudno się brać palmy —
Komu wydrą: dziedziczny Sztokholm i Upsalmy,
Próżno się na turecką monarchię wspinać,
Komu wzięto Szwecyą — Inflant nie wspominać.

I Władysław co przeleżał, chorobą złożony w obozie, szczycił się też cudzem zwycięztwem objeżdżając po wojnie zachodnie kraje, gdzie go z aplauzem przyjęto.

Przy hymnie wreszcie dziękczynnym do Boga, kończy się cały ten poemat.

* * *

Sąd, jaki możemy powziąć z tak szczupłego streszczenia, już musi wypaść na korzyść autora. Rzeczywiście Potocki na to zasługuje. Polak całą duszą, umie się ustrzedz w swojej epopei od wpływu obcego języka.

Pisze czysto po polsku, a chociaż studyował Homera, i znać, że na tym wzorze się kształcił, nie wpada jednak w manierę naśladownictwa.

Owszem, zawsze jędrny, zawsze samodzielny, pieśniom swoim nadaje czysto polski, narodowy, epiczny koloryt.

Potocki jest więc poeta czysto opisowy: dar spostrzegawczy bardzo bystry, porównania trafne, jasne i poetyczne, wszystko to świadczy razem o wielkim talencie tego poety.

Rzeczywiście, po przestudyowaniu Homera — nie przejął prócz formy nic od niego, nie powtórzył ani jednego obrazu walki Homeroskiej, nie przedstawił ani na chwilę „Wojny Chocimskiej" w sferach złocistej, pełnej blasku słonecznego Grecyi i stron ciepłych! klimat jego surowy, zimny, zlodowaciały, w zupełności odpowiada tym typom, które zamieścił w swojej epopei:

Czy to groźny i poważny Chodkiewicz, odczuwający duszą swoje zadanie; czy też hojny w datkach Lubomirski byle niemi ratować ojczyznę, czy król wyczekujący we Lwowie ze stoma tysiącami żołnierza, ten król gnuśny, ten bez charakteru wychowaniec jezuickiej szkoły, wszystko to dobrze uwydatnia autor.

Ale oprócz tych trzech typów, czy nie ma jeszcze innych? A Sajdaczny reprezentujący tu Ko-

nasiewicza, wodza kozackiego, który przybył pod Chocim z pomocą 40,000 ludzi. A Fiekiety? ów Węgier ze swojemi gałczami, wreszcie Lissowszczycy i owi *Comesi* austryaccy.

I po drugiej nieprzyjacielskiej stronie nie brak wykończonych typów. Sam dzielny i niecierpliwy Osman, pokuszający się codzień o zdobycie polskiego obozu; a jego pochlebcy, ów zazdrosny Husejm, bitny Karakaszy, albo podstępny Raduł i chytry Weweli — wszystko są to postacie wykończone.

A ileż tam postaci jest na drugim planie dobrze uwydatnionych. Ów Lipski, owi kozacy skradający się do obozów nieprzyjacielskich, ów Brodawka, wreszcie owi Turcy wyglądający pokoju i wiele drobniejszych szczegółów, które tylko w czytaniu przedstawiają się należycie.

Widzimy przeto, że Potocki ułożył sam epopeję rycerską, której formę oparł na zasadach ówczesnego romantyzmu — treść zaś zaczerpnął z dziennika naocznego świadka Jakóba Sobieskiego, który był wydany pod tytułem: „*Commentariorum chotenesis belli libri tres*".

Na tych zasadach Tyszyński zapewne zalicza go do pisarzów piszących dzieje narodu wierszem i odmawia zupełnie prawa zatytułowania „Wojny Chocimskiej" epopeją, a dla poparcia swego wniosku, przytacza brak artystycznego ułożenia.

Że autor „Wojny Chocimskiej" ściśle trzymał się historyi — nie zaprzeczam, ale, że poematowi temu nadana szata piękna, o tem, choć z nielicznie przytoczonych ustępów mógł się przekonać czytelnik. Ścisłość historyczna nie przeszkadza bynajmniej utworowi być artystycznie napisanym. To też nie ulega wątpliwości, że „Wojna Chocimska" celuje i artyzmem i ścisłością historyczną. Jeżeli zaś jest poematem opisowym, jeżeli przedstawia życie wojenne, sposób wojowania i myślenia narodu, jeżeli wskazuje powody tej walki i polityczny stan kraju, opisuje broń, pokarm, odzienie i t. p. jeżeli zdobywa się na różnego rodzaju charaktery i typy, ma swego bohatera i wzięta jest z narodowego bytu; przeto nie ulega kwestyi, że utwór taki będzie *epopeją*.

(D. n.)

ANIOŁ ŚMIERCI.

Po nad biedną ziemią jasny anioł biały,
Przeleciał i wionął skrzydłami swojemi —
Dzieciom co w kolebce cicho sobie spały,
Zdało się że anioł zawisnął nad niemi
I do nich przemówił: słowa jego brzmiały
Jak rajska muzyka, jak cudowne pienie,
A jednak dzieciny cicho zapłakały,
Jak gdyby ujrzały śmierci straszne cienie,
Jak gdyby odczuły ból cały i męki
Matek swych na ziemi, ich boleść, tęsknotę,
Jak gdyby słyszały ich płacz i ich jęki,
I odlecić od nich nie miały ochoty.
Ale czegoż bolec? Czyliż wy nie wiecie,
O biedne matki! ile trosk na ziemi,
Że nieraz w przyszłości biedne wasze dzieci,
Zapłaczą nad sobą łzami zbyt gorzkiemi,
Że smutek poryje pogodne ich czoła,
Zamroczą się oczy dziś jasno patrzące,
I wieńce laurowe, oklaski do koła
Zamienią się może na węże syczące.
Tak szeptał anioł, dziecina słuchała;
On skończył i w obłok się jasny rozpłynął.
O matko, syn twój, nadzieja twa cała,
Nie masz go... I on swe skrzydła rozwinął,
Rozwinął do lotu w jasnej mgle zawisnął,
Spojrzał na matkę, jasnem okiem błysnął,
Pozwól mi matko do gwiazd i do słońca,
Pozwól mi lecieć do szczęścia bez końca.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XXVIII.

Wykonawca testamentu.

Benedykt rzucił się w fale Menu z prawej strony mostu. Prąd poniósł go ku arkadom.

Wypłynąwszy na powierzchnię wody, obejrzał się w około, i przy jednej z arkad zobaczył przytwierdzoną łódź, a w niej leżącego człowieka.

Podpłynął ku niemu, pomagając sobie jedną ręką, gdyż w drugiej trzymał karabin, unosząc go po nad wodą. Spostrzegłszy nadpływającego, przewoźnik podniósł wiosło, pytając:

— Prusak czy Austryak?

— Francuz! odpowiedział Benedykt.

Przewoźnik podał mu rękę. Benedykt wskoczył do łodzi; woda się lała z niego.

— Dwadzieścia florenów, zawołał, jeźli za godzinę będziemy w Dettingen, płyniemy z wodą, będę pomagał wiosłować.

— Nie byłoby to nic trudnego, gdybym był pewny obiecanej zapłaty.

— Oto masz zadatek, rzekł Benedykt dając mu dziesięć guldenów, poczem zrucił z siebie styryjski kapelusz i kaftan.

— Kiedy tak, ruszajmy! zawołał przewoźnik.

Wziął jedno wiosło a Benedykt drugie. Łódź odwiązana od kamiennej arkady i popychana przez silne ramiona, pomknęła po Menie jak strzała.

Walka trwała ciągle. Ludzie i konie spadały z mostu w wodę. Benedykt pragnąłby bardzo zatrzymać się i przypatrywać przerażającym scenom, ale czas naglił. Nikt nie zwrócił uwagi na małą łódź płynącą tak szybko; w kilka minut upłynęli więcej niż na odległość strzałów, zatem byli już bezpieczni.

Przepływając obok małego lasku, leżącego nad brzegiem rzeki, zdawało się Benedyktowi, że dostrzega Karola walczącego rozpaczliwie z gromadką Prusaków. Nie mógł być jednak pewnym czy to on czy któryś z jego strzelców, bo z wyjątkiem galonu u kołnierza, nosił takiż sam mundur jak wszyscy strzelcy styryjscy.

Minąwszy pierwszy zwrot rzeki, nie mogli już widzieć bitwy. Nieco dalej, widzieli pożar płonącego Aschaffenburga — po za wsią Lieder wszystko znikło im z oczu.

Łódź mknęła po wodzie; minęli szybko Menaschoft, Stockstadt, Kleim, Ostheim. Od tego miejsca, aż do Mainflig wybrzeża Menu są zupełnie puste. Z przeciwnej strony, prawie naprzeciwko wznosi się Dettingen.

Był kwandrans na siódmą — przewoźnik zasłużył na obiecaną zapłatę. Benedykt zapłacił mu zaraz. Zanim się oddalił, rzekł jeszcze do niego:

— Czy chcesz zarobić drugie 20 guldenów?

— A ma się rozumiéć! odrzekł tenże.

Benedykt spojrzał na zegarek.

— Pociąg kolei, rzekł, przechodzi dopiero o kwandrans na ósmą, mamy więc dość czasu.

— Tem więcej, że skutkiem zamięszania panującego w Aschaffenburgu, pociąg niezawodnie się spóźni co najmniej o kwadrans, lub może nawet wcale nie nadejdzie.

— Tam do licha!

— Czy to com powiedział zaszkodzi moim drugim dwudziestu guldenom?

— Nie, tylko trzeba żebyś najpierw udał się do Dettingen; jesteś mego wzrostu, zatem kup mi tam kompletny ubiór przewoźnika; poczem wracaj prędko, porozumiemy się co wypadnie robić.

Przewoźnik wyskoczył z łodzi i pobiegł ku miastu; w kwandrans powrócił z żądanym ubiorem, za który zapłacił dziesięć guldenów. Benedykt zwrócił mu je zaraz.

— A teraz cóż dalej? zapytał przewoźnik?

— Czy zaczekasz tu na mnie trzy dni, zatrzymując mój mundur, karabin i pistolety? dam ci za to 20 guldenów.

— A jeźli nie wrócisz pan po trzech dniach?

— Weźmiesz sobie mundur, karabin i pistolety.

— Dobrze, zaczekam choćby cały tydzień, trzeba przecie dać ludziom czas do załatwienia interesów.

— Jesteś zuch chłopak! Jakże ci na imię?

— Fryderyk.

— No, więc do widzenia, Fryderyku.

W pare minut Benedykt zamienił swoje ubranie na ubiór przewoźnika i włożył na głowę marynarską czapkę. Uszedłszy parę kroków, zatrzymał się nagle, pytając:

— A gdzie cię mam szukać w Dettingen?

— Przewoźnik to jak ślimak, co zawsze dom swój nosi na grzbiecie. Znajdziesz mnie pan tu na statku.

— We dnie i w nocy?

— We dnie i w nocy.

— A więc dobrze! odrzekł Benedykt, i poszedł ku Dettingen.

Sprawdziło się co powiedział Fryderyk. Bitwa miała miejsce na torze kolei, zanim uprzątnięto drogę, pociąg spóźnił się o pół godziny. A był to ostatni, gdyż bojąc się, aby koleją nie nadciągnęły Austryakom z Frankfurtu posiłki, Prusacy kazali żołnierzom zburzyć relsy.

Benedykt zajął miejsce w wagonie trzeciej klasy, odpowiednio do stroju jaki przywdział. Był to pociąg pośpieszny, więc tylko kilka minut zatrzymał się w Manau i popędził do Frankfurtu, gdzie przybył o trzy kwandranse na dziewiątą, a zatem tylko o dziesięć minut pośpiechem jazdy wynagradzając opóźnienie.

Dworzec zapchany był ciekawymi, oczekującymi wiadomości.

Benedykt prędko przedarł się przez tłumy, spotkawszy pana Fellnera szepnął mu do ucha „Pobici!" i pobiegł w kierunku domu pani de Chandroz.

Zadzwonił; Jan mu otworzył.

Heleny nie było w domu; poszedł zapytać o nią pani von Below, od której dowiedział się, że poszła do kościoła Naj. Panny Bolesnej. Jan, domyślając się, że przywozi Helenie wiadomości od Karola, ofiarował się go zaprowadzić.

Za pięć minut stanęli przed kościołem. Jan

chciał wracać do domu, ale Benedykt zatrzymał go myśląc, że może być potrzebny. Zostawiwszy go przed portykiem sam wszedł do kościoła.

W jednej tylko kaplicy migotało drżące światło lampy. Przed ołtarzem klęczała pochylona kobieta. Była to Helena.

Pociąg przychodzący o jedenastej rano, zawiadomił, że niezawodnie dnia tego nastąpi bitwa. W południe Helena wsiadła do powozu w towarzystwie panny służącej i udała się do Aschaffenburga aż pod las Dornighem. Tam w ciszy wioskowej słyszała odgłos strzałów armatnich.

Każdy wystrzał boleśnem echem odbijał się w jej sercu; wkrótce, gdy stawał się coraz częstszym, nie miała siły słuchać dłużej; kazała zawrócić i dojechawszy do Frankfurtu, wysiadła przed kościołem Naj. Panny Bolesnej, a Hansa z powozem odesłała do domu, aby wiedząc gdzie jest, babka i siostra nie niepokoiły się o nią.

Od trzeciej po południu przebywała i modliła się w kościele.

Posłyszawszy odgłos kroków Benedykta, odwróciła głowę. Z pierwszego wejrzenia nie poznała Benedykta przebranego w strój prostego przewoźnika, i biorąc go za rybaka z Sachsenhausen, zapytała:

— Czy mnie szukasz przyjacielu?

— Tak, odrzekł Benedykt.

— Więc przynosisz mi wiadomość od hrabiego von Freiberg?

— Walczyłem obok niego.

— Zginął więc! krzyknęła, gwałtownie załamując ręce. Wybuchnęła głośnym płaczem, i jakby z wyrzutem patrząc na obraz Bogarodzicy: Nie żyje!... nie żyje!... wołała.

— Nie mogę powiedzieć pani stanowczo: żyje i nie jest ranny, mogę tylko oznajmić: zdaje mi się że nie zginął!

— Zdaje ci się!

— Zapewniam honorem, że tak sądzę!

— Czy przed rozstaniem polecił jakieś do mnie posłannictwo?

— Tak.

— A więc mów! mów zaklinam cię, przyjacielu! wołała składając ręce.

— Oto jego słowa: „Słuchaj, rzekł do mnie, bitwa przegrana. Fatalizm jakiś ciąży nad domem austryackim. Ja zginę, jak to jest moim obowiązkiem..."

Głuchy jęk wydarł się z piersi Heleny.

— A! zawołała; więc nie myślał o mnie!...

— Przeciwnie. Oto co mówił dalej: „Ty którego nic nie wiąże do naszych losów, i będąc Francuzem bijesz się tylko jako amator, popełniłbyś szaleństwo dając życie za obcą ci sprawę. Walcz więc, jeźli chcesz koniecznie, do ostatniej chwili, ale gdy już zobaczysz, że wszystko stracone, że dalszy opór na nic się nie przyda, wracaj co prędzej do Frankfurtu i udaj się zaraz do Heleny. Jeźli zginę w twoich oczach, powiesz jej w którem miejscu oddałem ducha Bogu, jeźli zaś śmierć w żaden sposób zabrać mnie nie zechce, powiesz, że wraz ze szczątkami armii cofnę się ku Darmstadt lub Würcburgowi. Jeźli zginę, myśl o niej będzie ostatnią moją myślą; jeźli żyć będę niezwłocznie napiszę do niej. Oto testament mego serca— bądź jego wykonawcą."

— Kochany Karol!... Więc?...

— Dwa razy jeszcze zobaczyliśmy się wśród boju. Raz na moście aschaffenburskim, gdzie tylko lekko raniony był w czoło; w kwandrans później zdaje mi się, widziałem go w małym lasku, pod wioską Lieber. Tam otoczony był przez nieprzyjaciół, ale walczył z nimi.

— O Boże!

— Płynąc, nie mogłem biedz mu na pomoc... pomyślałem wtedy o pani... Wojna skończona; były to ostatnie siły, jedyna nadzieja Austryi. Od tej chwili Karol już wyłącznie do pani należy. Czy chcesz, abym powrócił na pole bitwy? Jeźli zginął, odszukam go i uniosę, jeźli ranny obmyślę ratunek.

— Helena głośnem zaniosła się łkaniem.

— Chcesz pan powrócić na pole bitwy? zapytała.

— Tak.

— I szukać go wśród poległych?

— Tak, dopokąd go nie znajdę lub nie przekonam się, że go wśród nich nie ma.

— Pójdę z panem.

— Pani!... zawołał Benedykt.

— Nie jestże to mój obowiązek?... Poznałam nareszcie, że jesteś pan Benedykt Turpin, ów malarz francuzki, który pojedynkował się z Fryderykiem, i mogąc zabić, zostawił mu życie. Jesteś więc naszym przyjacielem, człowiekiem honoru, któremu mogę zaufać — jedźmy!

— Chcesz pani koniecznie?

— Jest to moje niezłomne postanowienie.

— Jeźli tak, nie mamy chwili do stracenia. Kolej już nie chodzi.

— Jan nas zawiezie.

— Mam inny zamiar. W takich razach najlepiej mieć konie wytrzymalsze, na które więcej liczyć można; powóz o którego zniszczenie się nie dba i pewnego przewodnika. Mam takiego woźnicę, który poświęci chętnie dla mnie i powozy i konie.

To powiedziawszy zawołał Jana.

— Biegnij co prędzej do brata twego Lenhardta, rzekł mu, powiedz niech zajedzie tu jak najśpieszniej najlepszym swoim powozem i najlepszemi końmi. Włożysz do powozu chleb i parę butelek wina, a Lenhardt niech w przejeździe wstąpi do apteki, kupi bandaże, szarpie i co tylko może być potrzebne do opatrunku.

Wracając do Heleny, zapytał:

— Zapewnie zechcesz pani zawiadomić rodzinę o zamierzonym wyjeździe.

— O! nie! zawołała, może nie chcieliby mnie puścić... Zostanę tu pod opieką Bogarodzicy, dopokąd nie wyjedziemy.

— Dobrze więc, módl się pani jeszcze, niebawem wrócę.

W kilka minut był z powrotem, przynosząc cetery pochodnie. Jednocześnie prawie zajechał Lenhardt.

— Czy zabierzemy Jana? zapytała Helena.

— Nie, trzeba żeby zawiadomił rodzinę pani gdzieś się udała. Jeźli Karol jest ranny, trzeba abyśmy znaleźli przygotowany pokój, aby chirurg był zamówiony. Musimy starać się tak wszystko urządzić, żeby nie zaniepokoić siostry pani, która zaledwie przychodzi do siebie, ani babuni, której wiek wymaga, aby unikała zbyt silnych wstrząśnień.

— A o której godzinie możemy być z powrotem?

— Tego wiedzieć nie mogę, ale w każdym razie niech nas oczekują już o czwartej rano. Wszak słyszałeś, Janie? — teraz już możemy jechać.

— Jedźmy więc, nie tracąc czasu! zawołała Helena. O Boże mój! jak sobie pomyślę, że on tam ranny leży na ziemi lub wsparty o jakie drzewo, że krew uchodzi go przez odniesione rany, i żadnego nie ma ratunku... i mnie przyzywa gasnącym głosem... Karolu mój!... idę! idę do ciebie!... Krzyknęła jak nieprzytomna.

Lenhardt zaciął konie, ruszyły galopem.

XXIX.

Fryga.

Przed upływem półtorej godziny byli już tak blizko Dettingen, które wydawało się z daleka jak środkowy punkt wielkiego pożaru. Dopiero podjechawszy tuż pod miasto Benedykt poznał, że były to ognie biwaków. Po odniesionem zwycięztwie, Prusacy wysłali tu swoje forpoczty.

Helena obawiała się niewymownie, że zapewnie nie pozwolą im jechać dalej; uspokoił ją Benedykt, zapewniając, że we wszystkich krajach ucywilizowanych, gdy bitwa się skończy, przez litość nad rannymi i cześć dla poległych, nie wzbraniają rodzinom szukać na polu bitwy krewnych swoich, a nawet wszelkiej ku temu użyczają opieki.

Forpoczty zatrzymały powóz, i dowódzcy straży nie chcieli wziąć na siebie odpowiedzialności, oznajmiając że pozwolenie odbycia dalszej drogi może dać jedynie jenerał Sturm, dowodzący awangardą. Główna kwatera jego była w małej wiosce Horstein, na lewo, niedaleko głównego gościńca, tam więc należało się udać dla uzyskania żądanego upoważnienia.

Gdy się nareszcie dopytano o jego mieszkanie, żołnierz stojący na straży oznajmił, iż jenerał odbywa przegląd nocnych straży; na zapytanie czy nie zostawił jakiegoś adjutanta mogącego w jego zastępstwie udzielić nader pilne upoważnienie, odpowiedziano, iż może rozmówić się z szefem sztabu głównego.

Gdy Benedykt wszedł, szef sztabu podpisywał jakieś rozkazy; usłyszawszy otworzenie drzwi, oficer zawołał zniecierpliwiony:

— Proszę zaczekać!

Usłyszawszy dźwięk jego głosu, Benedykt zawołał: Fryderyk!

Szef sztabu prędko odwrócił głowę. Był to rzeczywiście baron Fryderyk von Below, którego sam król pruski przeznaczył na szefa sztabu jenerała Sturma. Był to stopień torujący mu drogę do awansu na jenerała brygady.

Fryderyk spojrzał z zadziwieniem na przybysza wołającego nań po imieniu, a poznawszy Benedykta rzucili się sobie w objęcia. Z obu stron posypały się zapytania i odpowiedzi. Benedykt objaśnił w kilku słowach, że Karol walczył cały dzień, że albo zginął, albo jest ciężko ranny i że przybywa zwiedzić pole bitwy, w nadziei, że może uda mu się wynaleźć. Z początku miał myśl powiedzieć Fryderykowi, że siostra żony jego czeka w powozie, ale zastanowiwszy się postanowił zapytać pierwej Heleny czy sobie tego życzy.

Fryderyk ubolewał nadzwyczajnie, że nie może towarzyszyć Benedyktowi w jego poszukiwaniach; ale w nieobecności jenerała nie mógł oddalić się z Hornstein, tem więcej, że Sturm, widać wierny swemu nazwisku, które znaczy „burza", był nadzwyczaj porywczy i szorstki, i pare razy już tyle narobił mu przykrości swoją gburowatością, iż żałował mocno, że przyjął stopień szefa w jego sztabie. Dał więc tylko pozwolenie z podpisem jenerała do zwiedzenia pola bitwy, dodając dla bezpieczeństwa dwóch żołnierzy pruskich i chirurga, który za powrotem miał zdać mu sprawę z rezultatu poszukiwań.

Benedykt pożegnał majora i pobiegł do Heleny.

— I cóż? zapytała.

— Mam pozwolenie, odpowiedział, poczem rzekł cicho do Lenhardta: Odjedź ze dwadzieścia kroków i zatrzymaj się chwilkę.

Lenhardt spełnił rozkaz. Wtedy Benedykt zapytał czy życzy sobie widzieć się ze szwagrem czy jechać dalej. Helena zadrżała na samą myśl spotkania się z Fryderykiem, wiedziała bowiem iż za nic w świecie nie pozwoliłby jej udać się w nocy na pole bitwy, zasłane rannymi i trupami, wpośród których uwija się zwykle zgraja włóczęgów i złodziei dla ich obdzierania. Prosiła więc usilnie, aby jak najprędzej jechać dalej.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW

ŚWIAT NUDÓW.

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT I.

(Dalszy ciąg.)

Scena piętnasta.

Zuzanna (na stronie patrząc na Łucyę później na Rogera). List który nadszedł dziś rano.

Księżna. Jakto? i ty jeszcze nie ubrana? Lecz pocożeś tu przyszła?

Zuzanna (patrzy na Rogera nie odpowiadając).

Roger (do księżnej). Przyniosła swe kajety. Daj je Zuzanno! (Podchodzi ku niej, Zuzanna podaje mu kajety, patrząc ciągle na niego i nic nie mówiąc.) Co się jej stało?

Księżna. Rozglądnijmy się w jej kajetach. (Roger podchodzi do Zuzanny na lewo, Zuzanna na prawo tuż przy stole usiłuje rozwinąć papier różowy niewidzianą lewą ręką.)

Roger (patrząc na Zuzannę, na stronie ze zdziwieniem). Rzecz szczególna.

Księżna (do Rogera, pochylając go ku niej). Stańże bliżej!

Roger (upuszcza kajety, patrząc ukradkiem na Zuzannę, a nagle chwyta księżnę za ramię, po cichu). Ciotko!

Księżna (po cichu do Rogera). A ty co znowu?

Roger. Popatrz nie zwracając głowy. Ona usiłuje coś przeczytać. List, czy widzisz jak go chowa? Czy widzisz księżno?

Księżna. Widzę.

Zuzanna (która otworzyła list, czyta). „Przyjadę we czwartek". (Ze zdziwieniem.) Od Rogera. Jego list, który Łucya odebrała dziś rano. (Patrzy na papier.) Lecz dlaczego pismo zmienione a list nie podpisany? (Czyta.) „Wieczorem o dziewiątej w cieplarni. Udaj migrenę". Ach!

Księżna. Co to może być takiego? Zuzanno!

Zuzanna (zaskoczona, kładzie rękę, w której ma list, za siebie i zwracając się do księżnej). Słucham cioci.

Księżna. Co tam czytasz takiego?

Zuzanna. Ja, ciociu? nic...

Księżna. Sądziłam... zbliż się...

Zuzanna (wsuwając list pod książki stołu o który jest oparta ręką lewą, którą trzyma za plecami). Dobrze, ciociu. (Zbliża się do księżnej.)

Księżna (na str.). Sprawa coraz ciekawsza.

Zuzanna (tuż przy księżnej). Czego sobie życzysz, ciociu?

Księżna. Poszukaj mi szala.

Zuzanna (nachylając się). Ale bo...

Księżna. Nie chcesz?

Zuzanna. Chcę, owszem chcę.

Księżna. Tam w mojej sypialni, idź. (Zuzanna wychodzi, do Rogera.) Na stole, prędko!

Roger. Co?

Księżna. List ukryty — widziałam.

Roger. Ukryty? (Szuka na stole.)

Księżna. Tak, w kącie tam, pod czarną książką. Nic nie widzisz?

Roger. Nie... Ah! tak... papier różowy. (Bierze list przynosi go, czytając, do księżnej.) Oh!

Księżna. Co takiego?

Roger (czytając). „Przyjadę we czwartek." Od Bellaca.

Księżna (wyrywajac mu list i przypatrując się). Przecież niepodpisany, a list sam...

Roger. Pisany naodwrót tak, o! ten pan jest ostrożny. Ale „przyjadę we czwartek", to chyba on albo ja.

Księżna (czytając). „Wieczorem o dziewiątej w cieplarni. Udaj migrenę". Schadzki! (Podając mu list.) Prędko, prędko, włóż go tam napowrót. Słyszę jej kroki.

Roger (zmieszany). Dobrze... (Kładzie list w to samo miejsce.)

Księżna. Chodź tutaj.

Roger. Dobrze, dobrze.

Księżna. Prędzej, prędzej. (Roger zajmuje przy niej miejsce.) I spokojnie — otóż i ona. (Zuzanna wchodzi (głośno) przerzucając kajet.) Bardzo dobre notatki.

Zuzanna. Jest twój szal, ciociu.

Księżna. Dziękuję ci. (Po cichu do Rogera.) Mówże co!

(Zuzanna idzie do stołu, wyjmuje list, rzuca nań spojrzenie, odwracając się tak jak przedtem, podczas gdy Roger mówi.)

Roger (zmieszany). W istocie... znać tu... zadziwiające postępy... i tylko dziwię się. (Podchodzi do księżnej.) Ciociu!

Księżna (pocichu). Widziałam jak go wzięła. (Słychać dzwonek, głośno.) Drugi raz dzwonią—idźże się ubierać Zuzanno, nie będziesz nigdy na czas.

Zuzanna (na str. potrąca Rogera). Schadzka! o Łucyo! (Zbliża się do Rogera nic nie mówiąc i patrząc na niego ciągle, bierze mu z ręki kajety, rozdziera je i rzuca z gniewem na ziemię i wychodzi.)

Scena szesnasta.

KSIĘŻNA, ROGER.

Roger (osłupiony, zwracając się do księżnej). Ciociu!

Księżna. Schadzka!

Roger. Z Bellakiem.

Księżna. Dajże pokój!

Roger (upadając na krzesło). Nie czuję już rąk ani nóg. (Słychać głosy zewnątrz, drzwi w głębi otwierają się.)

Księżna (patrząc w tę stronę). Pan Toulonnier! i wszyscy i obiad! Idź przebierz się, to cię uspokoi, jesteś blady...

Roger. Zuzanna! to niepodobna. (Wychodzi.)

Księżna. Nie, to niepodobna... a jednak...

Scena siedmnasta.

KSIĘŻNA, pani de CÉRAN, TOULONNIER, SAINT-RÉAULT, żona jego, trochę potem ŁUCYA, pani de LOUDAN, pani ARRIEGO, otaczając BELLACA.

Pani de Céran (przedstawiając Toulonniera księżnej). Pan sekretarz jeneralny, moja ciotko.

Toulonnier (kłaniając się). Mam zaszczyt księżna pani...

Księżna. Łaskawy panie, już miałam obiadować bez pana.

Toulonnier. Przebacz księżno, ale liczne zajęcia — poprostu jesteśmy zawaleni robotą. Zechcesz pani mi pozwolić że oddalę się wcześniej?

Księżna. Dlaczegóżby nie? Z przyjemnością.

(Wchodzi Bellac.)

Pani de Céran (zakłopotana). Hm, hm, pan Bellac!

Toulonnier (któremu pani de Céran prezentuje Bellaca). Bardzo mi... (Ściska się za rękę z Bellacem, rozmawiając.)

Pani de Céran (powracając do księżnej). Proszę Księżnej być z nim uprzejmą.

Księżna. Z twoim republikaninem? Z człowiekiem, który nam daje termin dwudziestu minut, jak król jaki! Czy widział kto co podobnego?

Pani de Céran. Przynajmniej pozwolisz mu się zaprowadzić do stołu?

Księżna. Bynajmniej. Schowaj go dla siebie! Ja sobie wezmę młodego Rajmunda, będzie to daleko weselej.

Roger (wchodząc przebrany, ale bardzo zmieszany, do Księżnej). Ciociu.

Księżna. Cóż tam jeszcze?

Roger. Coś... co... usłyszałem w korytarzu, tam na górze... nie, to nie do uwierzenia.

Księżna. Co takiego?

Roger. Nie widziałem nikogo, ale słyszałem dokumentnie.

(Rajmund i Joanna wchodzą nieznacznie.)

Księżna. Co takiego?

Roger. Słyszałem szmer całusa, tam.

Księżna (zrywając się). Cału...

Roger. Tak, słyszałem go najwyraźniej.

Księżna. Ale któżby?...

Pani de Céran (przedstawiając Rajmunda i Toulonniera). Pan Paweł Rajmond, podprefekt z Agenis. (Kłaniają się sobie.)

Paweł. Panie sekretarzu generalny, (przedstawiając Joannę) Pani Rajmond, moja żona.

(Zuzanna wchodzi dekoltowana.)

Pani de Loudan (ujrzawszy Zuzannę). Ho, ho!

Bellac. Otóż i moja młodziutka elewka! (Szmer zdziwienia.)

Roger (do księżnej). Ciociu widzisz ją — dekoltowana, straszne, straszne rzeczy!

Księżna. Nie, zdaje mi się. (Na stronie.) Płakała.

Franciszek (anonsując). Proszę Księżnej pani do stołu.

Roger (podchodząc do Zuzanny, która rozmawia z Bellac'em). Chciałbym się dowiedzieć... (Chce jej podać ramię.) Zuzanno!

Zuzanna (Patrzy na niego dumnie i bierze ramię Bellaca, który rozmawia z Łucyą.)

Bellac (do Zuzanny). Będę miał wielu przez panią zawistnych.

Roger. Tego już nadto. (Podaje ramię Łucyi.)

Księżna (na str.). Co to wszystko ma znaczyć? (Głośno.) Panie Rajmond proszę. (Rajmond zbliża się do niej.) Tak mój przyjacielu, chcąc zostać prefektem, trzeba cierpieć.

Paweł. Pokuta bardzo miła, Księżno.

Księżna. Usiądziesz pan obok mnie przy stole i będziemy sobie obmawiać rząd.

Paweł. Ależ księżno, ja urzędnik obmawiać rząd! Nie, nie, lubo gdy inni obmawiają, słuchać mogę.

(Koniec aktu I-go.)

(D. c. n.)

Wystawa starożytności i dzieł sztuki

w zastosowaniu do przemysłu.

(Dalszy ciąg.)

Dział zatytułowany w katalogu: „Puhary, dzbany, konwie, kufle, kubki i czarki", należy do bardzo licznie reprezentowanych, obejmuje bowiem aż siedmdziesiąt kilka okazów. Najwięcej z nich są to wyroby: augsburskie, holenderskie, niemieckie, pare hanowerskich i angielskich. Z wyrobów krajowych: Puhar cechowy szklarzy warszawskich, wielki, wytłaczany i cyzelowany, z pokrywą ozdobioną postacią Ś. Łukasza, z monetami oprawionemi ruchomo, wyrób polski z 1779 r. Kufel srebrny wykuwany, ozdobiony monetami polskiemi i medalem Jana Kazimierza. Kufel z pokrywą i rączką, srebrny, wytłaczany, robota gdańska, z XVII w. Kubek duży, z przykrywą, srebrny wytłaczany, przedstawiający epizody z wojny 30-letniej, robota gdańska z początku XVII wieku, pare jeszcze kubków z herbami i kufel srebrny, na nakrywce którego osadzony jest medal Jana III i trzy mniejsze kubki ze staremi monetami, ale co do ostatnich czterech okazów, nie oznaczono czy to wyrób polski czy zagraniczny.

Z innych zastaw stołowych zwracała uwagę taca srebrna ze złoceniami, wykuwana, na której szerokim otoku, między bogatemi liśćmi i kwiatami mieści się sześć medalionów rzymskich Cezarów: Gracyana, Tyberyusza, Klaudyusza, Tytusa, Wespazyana, Marka-Aureliusza, Probusa i Aureliana. Środek przedstawia Ashawerusa siedzącego na tronie i za nim stojącego Amana; przed monarchą klęczy Estera, otoczona gronem Izraelitów, błagając męża o cofnięcie wyroku wypędzającego Żydów z Persyi. Jest to wyrób augsburgski z w. XVII; okaz ten znajdował się na wystawie paryzkiej w 1878 r.

Misa srebrna wytłaczana, z herbami Zawiszów; wyrób polski, wykonany w Kobylu, w pobliżu Nieświeża. Taca srebrna wytłaczana z herbem Sapiehów, wyrób polski z 1711 r. Taca srebrna wytłaczana z widokiem baszty; wyrób polski, poznański, z końca XVII w.

Niewielka tacka srebrna, wyrób włoski, ładna bardzo i zalecająca się wysoką wartością artystyczną. Pięknie narysowana płaskorzeźba przedstawia jakąś wojenną scenę. Utwór ten to prawdziwe arcydzieło dawnego złotnictwa, jakiemu równego nie było na wystawie.

Z licznych różnego rodzaju srebrnych przedmiotów, zauważyliśmy szkatułkę srebrną, wyrób polski, w Gdańsku, zdaje się z końca XVI lub z początku XVII w., oraz kałamarz sławnego kanclerza Jana Zamoyskiego, własność ord. hr. Zamoyskich. Kałamarz srebrny z piasecznicząką, w kształcie sarkofagu wspartego na orłach; na wierzchu Minerwa, bogini mądrości; wyrób gdański z 1695 r. Śliczny ten zabytek jest własnością hr. Platerberk'a. Ładne cacko jest puszka z orzecha kokosowego, okuta w srebro, z pokrywką, wsparta na trzech płaskich nóżkach; wyrób XVII w. Puszka srebrna złocista, grawerowana, inkrustowana drzewem dębowem; na wierzchu kula agatowa a nad nią tarcza z herbem Krasińskich, do okoła litery; wyrób z w. XVII. Pudełko srebrne wykuwane, na przykrywce polowanie na niedźwiedzie; wyrób gdański, z XVIII w.

Z działu bižuteryi odznaczały się klejnoty korony szwedzkiej, sprzedane po śmierci Eugeniusza Beauharnais, mozajki oprawne w perły. Naszyjnik, brosza i kolczyki ze skarabeami (poświętnikami), oprawa Castellani'ego. Klamra od pasa polskiego, srebrna, złocona i grawerowana, wysadzana rubinami i zdobna emalią, wyrób z XVII w. Pasek z ogniwami posrebrzanemi, z czasów Jana Kazimierza. Pas srebrny, złocisty, z blach płaskich, połączonych wypukłemi złoconemi guzami; wyrób polski (z Przeworska) z XVI w. Pas srebrny pozłacany, łączony ogniwami, z czasów Jagiellońskich, pochodzący z Nieświeża; wyrób polski, w Przeworsku. Pas srebrny, z herbem litewskim Pogoń, spajany srebrnemi łańcuszkami, wyrób polski z XVII w.

Scieśnione ramy sprawozdania nie dozwalają nam wyliczać wszystkich godnych wzmianki przedmiotów i dlatego tak z już opisanych jak szczególniej z działu złotnictwa, z małym wyjątkiem ograniczamy się do przedmiotów wyrabianych w naszym kraju, jako najwięcej nas obchodzących.

Z upływem XV i XVI stulecia, które dla złotnictwa były prawdziwie złotemi wiekami, gdyż wyrobami z drogich kruszczów zajmowali się artyści biegli w rysunku, rzeźbie, rytownictwie i innych sztukach i najsławniejsi mistrze poświęcali mu swoje rylce i dłuta—to też utwory ówczesnej epoki jakie przechowały się do naszych czasów, są prawdziwemi arcydziełami, obok których wyroby tegoczesnych złotników i jubilerów nader podrzędną odgrywają rolę. Wprawdzie przemysł nowożytny ma tę zasługę, że przedmioty dawniej tylko bogaczom dostępne, mogły się rozpowszechnić, a wiele z nich w cokolwiek choćby zamożniejszych domach stały się prawie niezbędne. Praca ręczna zastąpiona maszynami i siłami przyrody, dozwala produkować taniej, ale zato pod względem estetycznym i artystycznym jakże to nizko stoją te szablonowe, rzemieślnicze wyroby, w porównaniu z dawniejszemi! Różnica ta uderza szczególniej w wyrobach złotniczych—co dawniej było kunsztem, dziś jest rzemiosłem.

I na wystawie do najpiękniejszych zabytków należą złotnicze wyroby kościelne, po większej części z XVI wieku pochodzące, a więc z owej epoki kiedy coraz więcej rozpowszechniający się *renaisance* wypierał stopniowo styl gotycki. Coraz potężniejszy, zdrów fizycznie i moralnie naród nasz w Jagielońskiej epoce dziejów, religijny i zalecający się prostotą obyczajów, nie zapominał o potrzebach Kościoła. Bogaci wznosili świątynie na chwałę Najwyższego, inni zaopatrywali ją wedle możności w kosztowne sprzęty i ubiory potrzebne do służby Bożej. Później, począwszy mianowicie od wojen szwedzkich, zmieniło się w kraju wiele, niestety! na gorsze. Pomimo tylu klęsk i tylokrotnych rabunków i łupieży, z owych czasów przechowało się jeszcze wiele sprzętów, naczyń i aparatów kościelnych, pięknych i wielkiej wartości—ale zato z epoki saskiej najbogaciej przedstawia się na wystawie zbiór srebrnych dzbanów, puharów, konwi, roztruhanów, i kielichów—smutny ale charakterystyczny obraz dwóch epok dziejowych.

Współczesne złotnictwo przedstawiają tylko wyroby z zakładu jubilerskiego p. Józefa Wejnerta wogóle dość ładne, z pomiędzy których powszechną zwracała uwagę trumienka spoczywająca na kamieniu wyjętym z grobu Napoleona I, w której mieszczą się włosy tegoż cesarza, a jako wyrób kunsztu puhar przedstawiający sceny z wyścigów; piękna czara złota wysadzana pieniędzmi francuzkiemi, 20-frankowemi, wspierająca się na czterech ułanach, wyrobionemi *massif*; bransoletka z scarabée (poświętników) wyrobiona na wzór Castellani'ego. Oprócz tego pare brylantowych medalionów, kolczyki po jednym dużym brylancie, dwadzieścia kilka kosztownych pierścieni i wiele pięknych bransolet.

(D. c. n.)

O panu Donacie w Warszawie.

Przed kilku tygodniami Warszawa bardzo zajmowała się doświadczeniami pana Donato zwanemi rozmaicie: hypnetyzmem, magnetyzmem, somnabulizmem i. t. p., bez stałej definicyi co to jest właściwie i jaka natura dziwów przez p. Donato okazywanych. A są one niemałego znaczenia.

Medium używanem do tej czynności, jest panna Lucylla, osoba młoda, dobrze zbudowana i nieprzedstawiająca wcale chorobliwych objawów w swej powierzchowności. Za wpływem pociągów rękami a więcej jeszcze woli magnezytera, p. Lucylla uśpiona, staje się najzupełniej bierną istotą, pełni wszystko co każe, wstaje, porusza się, przybiera pozy wskazane, zawiesza się niejako w powietrzu w postaci nachylonej jakiej na jawie nigdyby przybrać nie mogła, okazuje siłę niezwykłą rozpychając mężczyzn umyślnie dobranych a tamujących jej przejście: znosi bez bólu i pokazania się krwi bardzo głębokie przekłucia ręki wielkiemi špilkami, za wolą magnezytera staje się głuchą na najhałaśliwsze dźwięki wprost do ucha stosowane lub słyszącą najdelikatniejsze szepty przy normalnym stanie niepodobnemi do usłyszenia; czyta z kartki napisanej a przyłożonej do jej ciała, wreszcie zawsze za tą wolą magnetyzera, sztywnieje tak straszliwie, że oparta na dwóch krzesełkach tylko głową i końcami nóg, zawsze bez żadnego wytężenia ciężar siadającego na niej dość korpulentnego mężczyzny jakim jest sam p. Donato.

Doświadczenia te z jednym zawsze rezultatem, odbywały się w obec setek widzów publicznie i przyglądano się im ciekawie, przekonywano się o ich prawdziwości, próbowano wykryć oszustwo, ponawiano posiedzenia w kołach prywatnych osób zaufanych i naukowych na mediach dobrowolnie na to poświęconych: skutek był zawsze jeden i ten sam; mimo tego, naukowi ludzie i pragnący za nich uchodzić, podzielili się na dwa grona wierzących w fakt i niewierzących czyli uznających pannę Lucyllę za rzeczywiście uśpioną magnetycznie czy tam hypnotycznie, i uważających ją za genialną aktorkę, a pana Donato za wytrawnego i bardzo zręcznego szarlatana.

Sąd ten ostatni jest niczem nieusprawiedliwiony. Dlaczego nie powiedzieć, że jest coś czego sobie najzupełniej wytłomaczyć nie umiem, jakaś nowa siła, dziś niepojęta, niezrozumiana, niepochwycona teorya, ale która w niedalekiej może przyszłości stanie się tak jasną, prostą i znaną, jak inne prawdy dawniej wyśmiewane lub przypisywane czarom, a dziś włączone do nauki i objęte prawami teoryi.

Metoda wprawdzie pozytywna przyjmuje tylko to, czego dowieść potrafi, ale nie odrzuca nic, czego nie rozumie, tylko powiada: nie wiem, ale badać będę i dochodzić. Dlaczegóż nasi prawdziwi pozytywiści, bo są i pozujący na nich, najhałaśliwsi a najmniej świadomi,—tacy zowią się warszawskiemi pozytywistami czyli wartogłowami: otóż dlaczego nasi prawdziwi pozytywiści jacy zajmowali się badaniem doświadczeń p. Donato nie słuchają jej przepisu? Dlaczego wprost przeczą gdy czego dowieść nie mogą.

Wyśmiewano kiedyś magnetyzm, a jednak dziś i nauka bytowi jego nie zaprzecza: w sny magnetyczne i w stan nienaturalny prawie nadprzyrodzony w jaki osoba uśpiona przy nim wpada, także nie wierzono, a czyż można twierdzić że to proste złudzenie? Stoliki i ekierki wirujące wyśmiano i osławiono, a jednak i w tem jest coś czego nie pojmujemy.

Wprawdzie do doświadczeń tego rodzaju wiele przyłącza się szarlataneryi, złej woli a nawet dziecinnej igraszki z ludzi pragnących dojść prawdy, mimo tego fakt dziwnego ruchu pozostanie faktem, o co nam głównie idzie.

Wierzymy w byt duszy i życie jej pośmiertne wolne od dokuczliwości materyi, pod podwłoką której błąka się na ziemi. Są to prawdy niepozytywnie zdobyte, bo je ani zważyć ani zmierzyć, ani w retorcie rozebrać nie można: niemniej jednak pozostają prawdami złożonemi z wyższej woli w dusze nasze z jakiemi na świat przychodzimy. Z wiary tej nic nas wyzuć nie zdoła i można ręczyć że nie ma na świecie człowieka uchodzącego za największego nawet niedowiarka, któryby nie wierzył w nieśmiertelność duszy. Gdy ta więc jest taką, jest więc świat duchów, z którym dlaczegóżby ludzkość do pewnego stopnia nie mogła wchodzić w bezpośrednie stosunki? Wszakże duchy te żyły kiedyś na ziemi: żyjących na niej ten sam duch co i ich ożywia, czyżby więc możność pewnego znoszenia się wzajemnego w granicach oznaczonych naszą cielesnością była zupełnem niepodobieństwem? Być może że przypuszczenie to jest błędnem, ale odrzucić go zupełnie nie można a wyśmiać się nie godzi. Czekajmy: czas płynie a z nim i zdobycze naukowe coraz się bardziej zwiększają. Sen magnetyczny nie jest mrzonką, fakta podczas niego praktykowane, byle nie dotyczyły proroctw i odgadywania przyszłości, nie ulegają zaprzeczeniu. Kto więc wie co nam a przynajmniej następnym pokoleniom przyszłość przyniesie? Doświadczenia p. Donato pokazują jasno, że w badaniu tej niepojętej siły hypnotyzmem czy magnetyzmem zwanej, postąpiliśmy naprzód olbrzymim krokiem, jeszcze takich kilka albo kilkanaście, a otworzy się ludzkości świat nowy, zupełne przez nią dotąd nieznany, w którym przechadzać się będzie jak we własnem mieszkaniu, a pośrednio dowiadywać co się dzieje na tych niezliczonych miliardach światów zaścielających cały firmament a tak milczących i tajemniczych.

Nie jest to niepodobieństwem! A któż odgadnie granice rozwoju myśli ludzkiej skazanej na ciągłe dociekanie tego co człowieka otacza i co przeczuwa? Rozumem człowiek nie nadarmo uposażony: potęga to wielka a czasem straszna gdy do złego stosowana. Nim człowiek, choć pojedynczy, kruszy trony i całe narody: nim żywioły i siły natury robi swemi służkami: odkrywa światy niedojrzane okiem, bada ich naturę, oblicza bieg, oznacza ich drogi, chwilę pojawienia się na lat tysiące... jest więc potęga zdumiewająca, dlaczegóżby zatem przy pomocy magnetyzmu i elektryczności nie mógł zawiązać bezpośrednich stosunków ze światem nadzmysłowym dziś tak milczącym i tajemniczym?

Wprawdzie rozum ten wszystkich ludzi i czasów jacy są, byli i będą, wyssany ze wszystkich ksiąg, retort i obserwatoryów z całej przeszłości i obecności wobec mądrości rozlanej w naturze, jest pyłkiem jak kropla względem wód oceanu, zawsze jednak jest cząstką, tchnieniem jego, choćby tylko atomem, może więc poznawać i poznać to co go bliżej otacza. Nie będzie to wszystko tylko coś, ale i to coś jakże cudownem będzie wobec dzisiejszej naszej nieświadomości!

PRZEGLĄD BELLETRYSTYCZNY.

Pod skrzydłami almae matris. — Kasia i Marynka, Gabryelli. — Grzechy Hetmańskie, Kraszewskiego. — Romans pana Michała, Zacharyasiewicza. — Wspomnienia obywatela, przez autora „Kłopotów starego komendanta". -•- Bicz korali, Walerego Przyborowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Bohater powieści Kraszewskiego należy do pierwszej kategoryi; może nie zgadza się to w zupełności z pobożnością Beaty, ale dopełnia natomiast obrazu jej niezłomnego charakteru. Rozmaite postacie wplecione do powieściowego wątka urozmaicają go, zwłaszcza iż wiele z nich, jak: Hetman, Książę Kanclerz należą do historyi. A jakkolwiek powieść ta nie jest w właściwem tego słowa znaczeniu historyczną, przecież ta zakulisowa historya stosunków ówczesnych ożywia się obrazami domowego życia ludzi, którzy zapisali się na kartach dziejowych.

Nadzwyczaj wdzięczną postacią jest piękna Lola, która oddawszy młode serduszko Teodorowi, potrafiła dochować mu wiary; przeczekać i zwalczyć przeszkody, aż wreszcie żoną jego została.

Pomimo jednak, że autor wiele sympatycznych figur umieścił w swoim obrazie przeszłości, że narysował znakomicie postać niewinnej pokutnicy, Beaty, a nawet grzesznego Hetmana przedstawił w ten sposób, że go ostatecznie potępić bez ratunku nie można; myśl i wyobraźnia chętnie odwraca się od tego wieku upadku by znów wpośród obecnego świata śledzić bliższe nam problemata, patrzeć na wady śmieszności lub cnoty ludzi takich, jakich widzimy w koło siebie, bo te są zawsze nam bliższe i więcej zajmujące.

Takim ślicznym i doskonale obmyślanym obrazem obecnej chwili jest powieść Zacharyasiewicza, poświęcona Kraszewskiemu w jego rok jubileuszowy „Romans pana Michała".

Tutaj wchodzimy na czysto w dziedzinę obyczajową i psychiczną. Autor rozpoczyna powieść od wychowania swego bohatera, i czyni bardzo słusznie, albowiem katastrofę właściwą powieści stanowi rzeczywiście romans człowieka, któryby, wedle wszystkich danych, romansu mieć nie powinien, ale temat jej główny, jest wiele obszerniejszy i zawiera szerszy zakres, niż sprawę sercową, jakkolwiek to staje się istną osią akcyi.

Pan Michał rodzi się w domu pańskim jeszcze, ale już podkopanym ruiną, jest on młodszym bratem czterech sióstr, ponieważ jednak na nim, jako na mężczyźnie, polegać będzie cała przyszłość rodziny, urodzenie to obchodzą huczno i serdecznie, licznie zebrani sąsiedzi, przyjaciele, krewni i koligaci przepowiadając przy licznych kielichach potomkowi zacnego rodu Ryczywolskich z Byczyna, że będzie chwałą swojego domu.

Dom ten jednakże chyli się do upadku, więc całe wychowanie Michała, skierowane jest ku temu jedynie, by on go dźwignął i do dawnego splendoru przywrócił. Po śmierci ojca składają się na to wychowanie matka, dwie babcie, trzy ciocie, cztery siostry i wuj Felicyssimus, czyli cała rodzina zgromadzona w Byczynie.

Liczba rezydentek może zdawać się nieco przesadzona, przecież zdarzały się do ostatnich czasów wypadki, w których potrzeba, brak schronienia, niechęć do wszelkiej pracy uważanej powszechnie za ubliżającą godności nazwiska, wreszcie trudność dla niewykształconej a przywykłej do zbytku kobiety znalezienia właściwego zatrudnienia zaludniały dwory wiejskie krewnemi szukającymi przytułku, którego zazwyczaj udzielano chętnie, bo dwory były obszerne a chleb tani.

Wśród takiegoto otoczenia wzrasta bohater powieści. A im więcej fortuna chyli się do upadku, tem z większą otuchą zwracają się oczy wszystkich na jedynaka. Matka, babcie, ciocie, siostry, wuj wreszcie spoglądają na niego, jak na przyszłego zbawcę. Ale naturalnie, gotują mu przyszłość, jaką sami rozumieją i za jedynie właściwą uważają. Zamiast więc obrać mu jaki chlebodajny zawód i uzdolnić do niego, rachują na bogate ożenienie i do tego celu zwracają wszystkie usiłowania a nawet w obecności dziecka dowodzą głośno, że nauka może wprawdzie dać kawałek chleba człowiekowi, który nie ma mniej szlachetniejszej karyery przed sobą, ale że potomek starego rodu, jak pan Michał wcale jej nie potrzebuje. A jeśli jedna z istot składających areopag niewieści protestuje przeciwko temu, protest ten zagłuszony jest głosami innych i przegłosowany zupełnie.

Pan Michał więc wzrasta w tem przekonananiu, że przeznaczeniem i obowiązkiem jego jest koniecznie ożenić się bogato, wuj Felicyssym wdraża go w to wszystko na co panny zwykle zwracają uwagę i pod jego kierunkiem bohater nasz wyrasta na pięknego młodzieńca, który wprawdzie pod względem naukowym mógł dużo zostawiać do życzenia, ale za to umiał dziarsko prowadzić mazura i prawić pannom słodkie słówka, czyli był zupełnie uzdolniony do karyery jakiej szukać zamierzał.

A przytem zdawał się również uzdolnionym do tego moralnie, nigdy bowiem nie przyszło mu na myśl, że w ten sposób jego osoba, nazwisko, szczęście wchodziło w grę, że w małżeństwie koniecznym dodatkiem do posagu jest kobieta, i że mógł zarówno znaleźć kobietę bez posagu, jak posag bez kobiety a raczej bez kobiety, którąby mu się podobała.

Pan Michał nie był wcale romansowym, położenie swoje sądził bardzo trzeźwo i nie uważał siebie wcale za ofiarę. W świecie w jakim żył i wychował się, było to rzeczą przyjętą a pierwszym owocem wychowania jakie odebrał było to, iż nigdy nie kwestyonował tego co jest przyjęte.

Jednakże wyrachowania ludzkie są omylne, ten znany aksiomat w brew wszelkim przewidzeniom stwierdzony został na panu Michale, bo jak sam tytuł powieści wskazuje, idzie w niej właśnie o fakt którego nikt się nie obawia i spodziewać nie może, o romans. Daremnie skazuje się na milczenie niektóre struny; odezwą się one wówczas gdy się o nich najmniej myśli i dopomną praw swoich, tam szczególniej gdzie trwają i dźwięczą pewne szlachetne struny będące z nim w harmonii. Tak

dzieje się z panem Michałem, który wbrew wszelkim przewidzeniom pokochał się w pannie Salomei.

Stało się to jednak przez rodzaj podstępu, jaki los niby złośliwy szatan często względem ludzi popełniać się zdaje. Panna Salomea słynęła jako bardzo bogata dziedziczka mająca posagu 130 tysięcy zł. reńskich (rzecz dzieje się w Galicyi) a oprócz tego w nadziejach sukcesyi po wujach i ciotkach ze sześć razy tyle.

Powziąwszy wiadomość o tak znakomitym posagu wuj Felicyssym przedstawia sprawę całemu areopagowi niewieściemu, który jednomyślnie decyduje, że pan Michał starać się o niego, o ten posag powinien. Pan Michał więc pożycza od lichwiarza okolicznego pare tysięcy reńskich na rachunek posagu obmyślanej panny i nowym koczykiem, nową czwórką koni z woźnicą w nowej liberyi rozpoczyna wyprawę po bogatą żonę.

(D. c. n.)

Z KWESTYJ BIEŻĄCYCH.

Teatr w Pradze się spalił! Oto jedna z najbardziej sensacyjnych wiadomości, jaka obiegała Warszawę w sobotę wieczorem, gdziekolwiek tylko zebrało się kilku ludzi inteligentnych, rozmowa toczyła się o tem nieszczęściu, które dotknęło nietylko Czechów, ale i nas a pośrednio całą Europę, gdyż idzie tu o przybytek sztuki, tego najszlachetniejszego kwiatu cywilizacyi ludzkiej.

Lecz biedni Czesi! oni stracili podwójnie, bo teatr ten narodowy był nietylko przybytkiem sztuki, ale sztandarem narodowym ludu czeskiego, wzniesionym wysoko w kilkusetletniej walce z germanizmem. Około tego teatru skupiła się miłość, duma, chluba i nadzieja Czechów. I nagle o siódmej godzinie w piątek, (13 b. m.) padła wieść Hiobowa, że teatr się pali — tłumy ludu z okrzykami bólu, grozy i rozpaczy biegły na miejsce pożaru — daremną była wszelka pomoc, teatr spalił się wewnątrz doszczętnie, ocalał fronton, zaś mury są silnie uszkodzone. Aby można zrozumiéć boleść Czechów, należy dodać, że składki na ten teatr zbierano od r. 1850, że wspaniały budynek stanął wdowim groszem, gdyż bogatsze mieszczaństwo, szlachta i arystokracya wówczas zniemczona z drwinami patrzała na usiłowania czeskich patryotów. Toż pyszny budynek, którego węgielny kamień położono w r. 1866, kosztował przeszło milion zlr. w. a. i „Naród sobie" go stawił — i kilka godzin, a straszny żywioł zniszczył tyloletnie usiłowania i marzenia! Nie wątpimy, że silny duch Czechów nie złamie się wobec tego nieszczęścia, że podwoją gorliwość, że zdanie „Pokroka", iż od dziś za rok pyszniejszym będzie nowy teatr narodowy, dosłownie się sprawdzi.

Wszystkie dzienniki galicyjskie z najżywszem współczuciem i ubolewaniem piszą o spaleniu teatru i otworzyły składkę na odbudowę. Również pisma warszawskie zgodnie zawtórowały boleści Czechów i składki zbierają, które niewątpliwie popłyną hojnie, odpowiednio celowi. Panna Marya Deryng powzięła myśl urządzenia koncertu, w którym pierwszorzędne siły naszego teatru i p. Mierzwiński wezmą udział — czyż można wątpić o powodzeniu?

Jest to strata wspólna tak Czechów jak i nasza, bowiem w tym teatrze miały być odgrywane nasze współczesne sztuki,—jedna każdego miesiąca, (kiedyż to nasz teatr dojdzie do tej perfekcyi?), opera p. Żeleńskiego „Konrad Wallenrod" miała być w b. r. przedstawioną, ów teatr czeski miał być i będzie strażnicą wysuniętą przeciwko napierającemu germanizmowi,—to palladium ducha i sztuki słowiańskiej, więc godzi się go poprzeć.

Chcąc skierować waszą hojną rękę w tę stronę, muszę sprostować wiadomość podaną w zeszłym numerze „Tygodnika". Autor rubryki „Z kraju i z zagranicy" idąc za głosem czcigodnego Kraszewskiego, wezwał was do niesienia pomocy panu Gersowi, redaktorowi „Gazety leckiej" na Mazurach pruskich. Otóż „Wędrowiec" i S. I. z Wiednia w „Tygodniku illustrowanym" rozświecają tę sprawę kilkoma szczegółami. Mazury w Prusach należą do tego samego dzielnego szczepu, który po dziśdzień zamieszkuje Mazowsze, część Galicyi i Litwy, mimo przyjęcia luteranizmu nie dali się zgermanizować, posiadają swój język i tradycye rodzinne, a silne parcie Prusaków, wywołało w mazurach reakcyą, dziś nader widoczną. Jednym ze środków germanizacyi była i — „Gazeta lecka", którą rząd subwencyonował, zaś sam redaktor pan Gersz, był niegdyś urzędnikiem pruskim a następnie narzędziem w ręku rządu. Dziś Prusacy cofnęli zapomogę a pan Gersz udał się z prośbą o pomoc do Kraszewskiego. Pan S. I. proponuje by tylko w takim razie poprzéć pana Gersza, jeśli się on zobowiąże do usunięcia wszelkich zaczepek polszczyzny a podnoszenia niemieczczyzny pruskiej, następnie, jeśli jedną stronnicę tej gazety będzie drukować polskiemi czcionkami, bowiem dotychczas używa tylko czcionek gotyckich. Aż do wyjaśnienia i należytej oceny należałoby się wstrzymać od wszelkiej pomocy, a jeśli ma kto zbędny grosz niechże rzuci na pragski teatr, by utrwalić zawiązaną z Czechami przyjaźń nietylko słowem lecz czynem!

W Krakowie zmarł zasłużony pracownik na polu literatury i pedagogii Karol Mecherzyński, którego lepiej i godniej nie możemy uczcić, a zarazem poznać jego działalność i zasługi, jak cytując wymowne słowa prof. Łepkowskiego, wypowiedziane nad grobem, tembardziej uważam to za mój obowiązek że zmarły prof. Mecherzyński, był moim profesorem i niejedną złotą myśl zaczerpnąłem z bogatej skarbnicy jego wiedzy. Oto proste a tak przejmujące słowa prof. Łepkowskiego:

„Z woli kolegów w Uniwersytecie i w Akademii, staję nad grobem towarzysza, któremu ostatnią podajemy posługę.

Innego jak moje, wart on słowa — a mnie chyba dlatego mówić tutaj dano, że mając przypomniéć życie zmarłego, przynoszę do tego nietylko miłość dla kolegi, ale i wdzięczność dla nauczyciela mojego od lat młodocianych.

Karol Mecherzyński z rodziców pochodzących z Ukrainy, urodzony w Krakowie r. 1800 — tu kończył nauki uwieńczone dyplomem doktora filozofii, otrzymanym przed 56 laty.

Ożeniony w roku 1837 z Józefą Sokólską.

Do r. 1850 był profesorem w gimnazyach tutejszych, języków polskiego i łacińskiego.

Gdyby tu stanąć mogły tysiące uczniów jego, z tej ćwierci stulecia, poświęconej nauczycielskiemu zawodowi, dałyby świadectwo prawdzie, że w czasach tłumienia tego, co polskie on krzewił miłość języka i rzeczy ojczystych. Niejedno zacne z tego posiewu urosło.

Obok gorliwego pełnienia obowiązków nauczyciela, miłowanego przez młodzież, z zapałem pracuje na literackiem polu. W r. 1830 z Pawłem Czaykowskim i Bandtkem redaguje „Pamiętnik Krakowski" — w latach 1835 i 1836 w wydawanym także w Krakowie Z. A. Helcla „Kwartalniku naukowym" wspólnie z Kremerem, W. A. Maciejowskim i Muczkowskim składa prace swoje zmierzające do owego rozbudzenia badań ojczystych, co wówczas tak skutecznie spełniać umiano.

Obok udziału w tym (usiłowaniami kilku) budzącym się ruchu, ukazują się wtedy większe prace jego, jak: „Świadectwa obcych o oświacie w Polsce" (1828 r.). „Historya języka łacińskiego w Polsce" (1833 r.), następnie „Dzieje języka niemieckiego u nas" (1846 r.), „O magistratach miast polskich" (1845 r.) — wreszcie w ówczesnych czasopismach nieustannie pojawiają się rozprawy Mecherzyńskiego, dowodzące, że obok zajęć szkolnych, pracuje w nauce, postępuje ciągle.

W Uniwersytecie Jagiellońskim, odkąd reorganizacya (1833 r.) przeniosła Pawła Czaykowskiego w stan spoczynku, a po nim Michał Wiszniewski wykładając historyę literatury powszechnej, o polskiej tylko wspominał, nie było przez lat 17 osobnej katedry tego przedmiotu. W r. 1849 Lucyan Siemieński chwilowo, przez pare miesięcy, miewał o literaturze prelekcye.

W roku 1850 z gimnazyum św. Anny przechodzi Mecherzyński na profesora Uniwersytetu.

To pobudka do zdwojenia trudu, do pomnożenia pracy, do wysileń bez wytchnienia — tem godniejszych podziwu, że wtedy, w czasie pożaru Krakowa spłonęły rękopisy i materyały jego, wraz z skrzętnie zebraną biblioteką i z dobytkiem wszelkim.

Człowiek pracy — nie umiał wątpić, ani na duchu upadać.

Ukazuje się właśnie owoc długoletnich badań, wielotomowe dzieło jego „Historya wymowy w Polsce", a w „Rocznikach Towarzystwa naukowego" i w „Bibliotece Warszawskiej" drukuje Mecherzyński ciągle mnóstwo rozpraw swoich, już to rozważając w nich ducha literatury polskiej w różnych jej okresach, już też zastanawiając się nad poezyami: Kochanowskiego, Klonowicza, Wacława Potockiego, Morsztyna i innych.

Możnaż wtedy było pomyśléć, że ten czynny profesor i autor, miałby odwagę zabrać się jeszcze do takiego ogromu pracy, jaki przedstawia przekład „Dziejów" Długosza?

Pamiętam z jaką radością i energią wziął się do roboty, gdy w r. 1858 ś. p. Aleksander Przezdziecki, idąc za radą Lelewela, ks. biskupa Łętowskiego, Maurycego Dzieduszyckiego i Helcla, powierzył mu dokonanie tego tłomaczenia.

Pięć ogromnych tomów w sześciu latach stanęło... A jaki to przekład?! Rzecz można, że tylko Mecherzyński, głęboki znawca średniowiecznej łaciny, erudyt, a zarazem surowy przestrzegacz poprawności języka i stylu polskiego, ten miłośnik pisarzów naszych klasycznych, mógł odtworzyć Długosza tak dokładnie i tak żywo, że go słyszymy, jak do nas w ojczystej odzywa się mowie.

Rok 1872 upamiętnił się otwarciem naszej Akademii Umiejętności.

Mecherzyński co dopiero (1871 r.) opuścił był wtedy katedrę uniwersytecką, uzyskawszy emeryturę. W nowej instytucyi, której zaraz zostaje czynnym członkiem, świeże dla siebie znajduje pole, kierując jako dyrektor wydziałem filologicznym.

W obejściu z ludźmi wyrozumiały, łagodny, uprzejmy, szedł tak przez długie życie, drogą pracy, trudu, mozołu, bez wytchnienia, bez wypoczynku, zbliżając się aż do tego kresu, gdy się z nim na wieki pożegnać mamy.

Szedł z pochodnią wiary i nauki, rozjaśniony miłością kraju, że trudno go było nie widzieć idącego ciągle w tej pielgrzymce, przez pół przeszło wieku. Przecież gdy inni okazywać się pragną, naprzód wysuwać, on krył się i chował zawsze. Skromność i pokora, to wielkie cnoty jego — niemi zalecał się tutaj, a pewno niemi i te drogi sobie wyprościł, na które odchodzi.

Wierzymy, że praca zbawić może.

O jakże pragnąłbym, aby cała młodzież polska nauczyła się z życia Mecherzyńskiego, jak się pracuje w ciszy, w skromności, z obowiązku, z przekonania — jak żyjąc z wiarą w przyszłość, zyskuje się to co jemu u krańca grobu, wobec bereł Almae matris, powiedzieć można: „Dobrześ się zasłużył krajowi — trudem własnym cześć na ziemi a odpoczywanie u Boga wypracowałeś dla siebie."

Z pedagogicznych wiadomości mamy do nadmienienia, że kurator okręgu naukowego, dla zaradzenia brakowi miejsca, wydał polecenie, by przełożeni nie krępowali się przepisem przyjmowania tylko 40 uczniów do klasy, lecz powiększyli tę liczbę o tyle, o ile klasa pomieścić może, następnie udał się do ministeryum oświaty z projektem powiększenia funduszu na szkoły o 18,590 rubli celem utworzenia oddziałów równoległych.

Pani Anastazya Dzieduszycka, znana pracowniczka na polu literatury i pedagogii, otwiera zakład naukowy żeński w Krakowie, który niewątpliwie zyska wiele uczenic, bowiem wychowanie Urszulinek jest nader drogie i jednostronne, a inne pensyonaty żeńskie nie stoją w Krakowie na wysokości swego zadania.

Nasze panie są niestrudzone w świadczeniu dobrego i często spotykamy wzmianki po codziennych pismach, o przeważnym współudziale i inicyatywie pań w urządzeniu koncertów na cel dobroczynny. I tak donoszą nam z Płocka, że na utworzenie „Taniej kuchni" odbył się tam koncert, na którym deklamowano udatny wiersz pani Kamockiej, zaś w Nałęczowie urządzono koncert na rzecz miejscowego kościoła, w deklamacyi miała szczególniej się odznaczyć p. F. G., której dziękowano oklaskami i kwiatami.

Wojciech Lubicz.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ Dnia 1 b. m. miało miejsce w Krynicy odsłonięcie popiersia J. I. Kraszewskiego. Tegoż dnia rano, zawiadomiono, że o 7 po południu nastąpi odsłonięcie i uwieńczenie popiersia jubilata w parku miejscowym, w części jego nazwanej „Zakątkiem J. I. Kraszewskiego". Zgodnie z tem zapowiedzeniem, o 5-ej po południu, udała się do tej uroczej miejscowości muzyka pod dyrekcyą kompozytora Wrońskiego, a za nią kilkaset osób chcących przyjąć udział w tej uroczystości. Przybywszy do „Zakątka" muzyka odegrała kilka utworów narodowych i kantatę. Publiczność składała się z przybyłych z najdalszych krańców ziemi naszej, ale i cudzoziemcy bawiący w Krynicy dość licznie się zebrali. O godzinie 7-ej zarządzający zakładem, p. Z. Sokołowski, wstąpiwszy na podwyższenie obok popiersia przemówił do zebranych, poczem odsłonięto popiersie wśród głośnych oklasków i dźwięków muzyki; z kolei przemówił znany nasz dziejopisarz, Henryk Schmidt. Mowa jego wywołała pełne zapału oklaski; po skończonem przemówieniu muzyka zagrała hymn narodowy, przy którego dźwiękach Henryk Schmidt uwieńczył popiersie Kraszewskiego.

+ Zakopane coraz więcej wchodzi w modę, w tym roku bawi tam do tysiąca osób; do mieszkań nacisk wielki; to też brak ich uczuć się daje i co rok podnoszą się w cenie. W porównaniu tylko z rokiem przeszłym, różnica wynosi obecnie 25%. Zatem idzie podwyższenie cen żywności i całego wogóle utrzymania. W tym roku rozpoczęto budowę *dworca tatrzańskiego;* tak nazwano dom, który Towarzystwo stawia dla uprzyjemnienia pobytu swym członkom. Dom będzie bardzo obszerny, drewniany, na wysokich murowanych suterenach, w których mieścić się będzie kuchnia, spiżarnia, piwnica, lodownia. Sam dom obejmie wielką salę do zabaw, sale jadalne, czytelnię, pokój bilardowy i do gier towarzyskich, oraz kilka pokoi gościnnych. Czas goście spędzają głównie na wycieczkach w góry, niekiedy jednak urządzają liczniejsze towarzyskie zebrania i wieczorki. Dnia 3 b. m. wyprawiono takie zebranie w Kuźnicach, dla bawiącego tam d-ra Chałubińskiego. Zabawa była bardzo pięknie urządzona i nader ożywiona. Kilkanaście panienek przebrało się za góralki; chóry męzkie i żeńskie, układu Bartelsa, śpiewy i tańce górali, a następnie tańce w sali, przeciągnęły się pare godzin po północy. Nareszcie po skończonej zabawie, całe towarzystwo przeszło ze stu osób złożone, wracało do Zakopanego, przy oświetleniu ogniami bengalskiemi i fajerwerkach.

Nie sądźcie czasem, że to uczczenie sławnego naszego doktora, w którem tak liczny przyjęto udział odnosi się do jego monarszego dostojeństwa „jako króla tatrzańskiego", chciano uczcić głównie najzacniejszego człowieka, jak tego dowodził wiersz wypowiedziany w sali podczas uczty, a z którego dajemy wyjątek:

„Bo czy się choroba zagnieździ pod strzechą,
Czy biedak pod nędzy brzemieniem ulegnie,
Tam zacny nasz doktor bez zwłoki wraz biegnie
Z pomocą dla ciała, dla duszy z pociechą.
A kiedy się zjawi wraz smutek rozwieje,
Jak chmury słoneczko, gdy rankiem jaśnieje.

A każdym tym czynem kieruje myśl wzniosła:
Czy radzi jednemu, czy drugim pomoże,
Czy każe innego wyuczyć rzemiosła,
Czy tam da na zasiew, czy tu znów śle zboże;
Czy dziatkom strapionym matusię ocali,
Czy kasę założy dla wsparcia górali.

Widocznie doktor Chałubiński rządzi się przestarzałą zasadą, „że król powinien być ojcem swego ludu."

+ Akademia Umiejętności w Krakowie wydelegowała pana Godfryda Ossowskiego, znanego archeologa, do zbadania jaskiń Mnikowskich, i znalazł w nich różne wyroby z kości i z kamienia wapiennego z czasów przedhistorycznych, nadzwyczaj ciekawe, nigdy dotąd nie widziane przez archeologów. Uważają je za unikaty. Gdy wiadomość ta rozejdzie się po świecie, najniezawodniej bardzo wielu uczonych przybędzie do Krakowa dla zobaczenia tak zajmujących okazów. W zbiorze tym znajdują się postacie ludzi, zwierząt, ptaków, niekształtnie wyrobione z kości, oraz płaskie, cienkie i dziurawione tabliczki kamienne.

+ W Alleward les Bains, w południowej Francyi, w departamencie Isere, miało miejsce trzęsienie ziemi. Pierwsze o wpół do pierwszej w nocy, z 22 na 23 z. m., trwało kilka sekund, połączone z podziemnym hukiem. Wszystko w pokojach się poruszyło, szklanki drgały, meble trzeszczały, nie było jednak bardzo silne; w dziesięć minut miało miejsce drugie słabsze, a o kwandrans na czwartą nastąpiło trzecie, również faliste, i trwało sześć sekund. To było tak silne, iż ludzie spadali z łóżek; towarzyszył mu huk podziemny i grzmot odległy. Niezamknięte żaluzye otwierały się gwałtownie, kominy spadały z łoskotem na dachy, u wszystkich drzwi jednocześnie zadzwoniły dzwonki. Nastał istny sądny dzień; jęki kobiet, płacz dzieci, krzyki, nawoływania; wszyscy w niedbałych strojach wybiegali na korytarze lub ulice. Z jednego z hoteli, pani jakaś w kołdrze, z parasolką i małą torebką w ręku, uciekała jak szalona na miasto; jakiś pan, tak jak wyskoczył z łóżka, wziął tylko kapelusz na głowę i ogromną tekę pod pachę a w drugą rękę ubranie, i tak zbiegł po wschodach. Pootwierano wszystkie drzwi, latano po korytarzach wołając o buty i ubranie, mylono się w pokojach, — słowem istna wieża Babel. Każdy uciekał aby prędzej z domu; a że lud tutejszy jest bardzo pobożny, wkrótce cały plac przed kościołem zapełnił się pobożnymi, śpiewającymi suplikacye. Wstrząśnienia silniejsze jeszcze miały miejsce w okolicy, a szczególniej od Genewy do Grenobli.

+ O sekcie religijnej, do której należy Guittau zabójca Garfield'a, ciekawe szczegóły podaje „Gazette de France".

„Komuniści mają w Ameryce obszerne pole do działania; i gdy wyznawca ich zasad w starym świecie, poprzestaje na propagandzie na zebraniach narodowych, oni starają się rozkrzewiać swe teorye w miasteczkach, które przyjęły ich gościnnie. Ztąd wytworzyło się w Ameryce mnóstwo bractw, a między innemi stowarzyszenie „Onieidy", którego Guittau był członkiem. „Onieida" powstała w r. 1846, a założycielem jej był niejaki Noyes. Członkowie jej wierzą w naukę biblii i w dwojaką naturę Chrystusa, zresztą religia ich różni się najzupełniej od zasad chrześciańskich. Dotąd głównym rysem tego bractwa było pozostawienie członkom zupełnej swobody pod względem wspólnego życia. Bractwo utrzymuje wspólne gospodarstwo, każdy mężczyzna może mieć kilka żon a kobieta kilku mężów. Niemoralność ta do tego stopnia oburzała sąsiadów bractwa, iż wywiązywały się częste procesa, w następstwie których bractwo zmuszone było wyrzec się zupełnej swobody małżeństwa i wspólności żon i mężów. Obecnie wyznawcy „Onieidy" zachowali tylko wspólność majątków. Z powodu przystąpienia do tej sekty kilku rodzin zamożniejszych przemysłowców, bractwo rozporządza ogromnym kapitałem, wynoszącym około pół miliona dolarów, i jest w posiadaniu kilku zakładów przemysłowych, w których pracuje przeszło dwieście robotników, mężczyzn i kobiet."

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 11 Августа 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 35 r. 1881.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dalszy ciąg.)

Nastąpiło dość długie milczenie. Na dworze śnieg padał ciągle, a wicher pędził jego tumany to w tę to w ową stronę. W taki dzień nikt nie śmiałby poruszyć się z domu! Ida na pozór zdaje się wyłącznie zajęta tym posępnym widokiem, ale w rzeczywistości spogląda ukradkiem na Chaloner'a, chcąc zobaczyć czy nie zamierza odejść. Nie! z całej jego postawy widać że ani myśli poruszyć się z miejsca.

— Zdawało mi się, rzekł nakoniec że znajdujemy się mniej więcej w jednakowem położeniu... sądziłem że jesteśmy zarówno osamotnieni... Ale pani... ma jeszcze ojca!

— Tak, mam ojca, odpowiedziała krótko, jakby nie życzyła sobie dłużej mówić o tem.

— I pani żyje zdala od niego? zapytał z wyrazem niezwykłej mu ciekawości.

— Tak się zdaje, odpowiedziała śmiejąc się, skoro tu jestem, a nie mogę być w dwóch miejscach razem. Ale, pójdźmy lepiej zobaczyć jak się obecnie przedstawia choinka.

Wstała i wyszła do galeryi w której wczoraj odebrała tak niemiłą przepowiednię. Tam stała choinka strojna i okazała, tak strojna że ten kto ją widział wczoraj, dziś nie poznałby jej z pewnością. Pokrywa ją mnóstwo chorągiewek jaskrawych, kolorowych świeczek, błyszczących i niebłyszczących cacek, tak że pod ich ciężarem uginają się gałązki, a na wierzchołku maryonetka skacze na jednej nodze. Na podłodze leżą stosy zabawek: mosiężnych trąbek, świstawek, ołowianych żołnierzy, drewnianych fuzyjek, biczyków, cukierków, słowem wszystkiego co może ogłuszać, nabawić bólu głowy i sprowadzić niestrawność. Obecnie nikt nie zajmuje się przybraniem choinki.

— Nie ma nikogo! zawołała Ida. Gdzież oni poszli?

— Szukasz za wysoko, zawołała Janina. Spojrzyj na ziemię, a zobaczysz nas.

Ida przeszła na drugą stronę choinki i spostrzegła przy końcu galeryi całe towarzystwo siedzące na ziemi. Nie brakowało nikogo; nawet otyłej mistress Tarlton, jakkolwiek trudno było zrozumieć jak mogła usiąść, i jak potrafi podnieść się z ziemi.

— O! mistress Tarlton, zawołała Ida, przykro mi bardzo że ktoś nie podał pani krzesła. Jakże pani się podniesie?

— Tak samo jak usiadłam, moja droga, odpowiedziała śmiejąc się mistress Tarlton. Mam nadzieję że mi ktoś poda rękę.

Nikt z sąsiadów nie odpowiedział jej na to, ponieważ nikt nie słyszał prócz męża, który mruknął coś odwracając głowę.

— Nie łaj nas Ido, odezwał się pokornie pan Marlowe. Tak napracowaliśmy się koło drzewka, że należy nam się chwilka odpoczynku i zabawy. Dosyć rzucić okiem aby się dowiedzieć jaką wybrali sobie zabawę. Wszyscy bez wyjątku puszczają frygi. Siedm osób dorosłych i trzy niedorosłe siedzą po turecku na podłodze, i z głęboką uwagą, z poważną miną trzymają w ręku frygi, aby za danym znakiem puścić je pociągając za sznureczek.

— Przyłącz że się do nas, Ido, rzekł znów pan Marlowe, wiedząc że jeżeli namówi swą siostrzenicę aby wzięła udział w zabawie, nie będzie miała prawa łajać go że się bawi jak dziecko.

— I owszem odpowiedziała wesoło Ida; jest to przyjemna zabawa. Proszę mi dać największą frygę.

— Prosimy cię także, panie Chaloner, rzekł znowu pan Marlowe, pragnąc aby się wszyscy bawili u niego. Nie masz ochoty? No! prawdę mówiąc stare z nas dzieci, ale nie powiesz tego nikomu.

W kwandrans później siedzą jeszcze na tem samem miejscu. Dzieci zmęczone porzuciły frygi a poszły przyglądać się choince. Każde z nich bawi się codzień frygą; a jak to już dawno jenerał Tarlton, wielebny Marlowe i squir nie okręcali tak systematycznie sznureczka, aby potem rzucić jednocześnie na pole bitwy wszystkich zapaśników.

Już od kwandransa nie wyrzeczono ani jednego słowa nie mającego związku z zabawą. Każdy klęczy na jednem kolanie, gdyż tak można najlepiej widzieć poruszenia frygi. Wielebny Marlowe przygląda się przez okulary ciężkim i powolnym ruchem swojej; jenerał Tarlton patrzy na swoją z pewnym niepokojem, ponieważ chwieje się trochę; na twarzy pana Marlowe maluje się niezadowolnienie, gdyż jego *protegowana* potknęła się i potoczyła aż na ścianę. Wszyscy byli tak grą zajęci, że nie usłyszeli iż drzwi otworzono, a wtenczas dopiero spostrzegli że wszedł służący, gdy podał Idzie na tacy bilet wizytowy. Ale i ona także nie wyciągnęła nawet po niego ręki, dopóki nie zobaczyła że fryga jenerała potrąciła frygę jej wuja, a rzucona przez wielebnego Marlowe już zaczęła się przechylać z boku na bok. Wtenczas wzięła obojętnie bilet, mówiąc:

— Któż to taki? Wątpię aby ktoś w tak szkaradnym czasie oddawał wizyty!... „Doktor Burnet?" Nie znam go wcale!

— Pokaż mi bilet, Ido, rzekł pan Marlowe wyciągając rękę. Doktor Burnet! Czegóż on chce od nas, ten doktor?...

Zamilkł nagle widząc że ten o którym mówił stoi niedaleko, widzi ich i słyszy.

III.

Wszyscy zapomnieli o frygach i podnieśli się nagle, nie wyjmując nawet mistress Tarlton, pomimo że nikt jej nie podał ręki. Tymczasem nieproszony gość przyglądał się wszystkim po kolei. Najprzód rzucił okiem na starsze osoby, potem na dwie panny Tarlton, nakoniec na Idę do której zbliżył się natychmiast:

— Czy mam zaszczyt mówić z miss Latimer? zapytał bez najmniejszego zmieszania i trochę niecierpliwie.

— Tak, panie, odpowiedziała zadziwiona.

— W takim razie proszę pani o chwilkę rozmowy, w bardzo ważnym interesie, odezwał się znów takim tonem jakby nie przypuszczał nawet że mogłaby mu odmówić.

— Skoro idzie o jakiś interes, zechce pan pomówić z moim wujem, panem Marlowe, rzekła wskazując ręką squira.

— Przepraszam, potrzebuję mówić z panią osobiście.

W głosie pana Burnet było tyle spokoju i pewności, że Ida zmieszana, wzywała spojrzeniem pomocy wuja; który jednak przyzwyczajony odwoływać się do niej we wszystkich ważniejszych sprawach, nie zdaje się rozumiéć jej wezwania.

— Jeźli tak, rzekła jakby ulegając konieczności, przejdźmy do drugiego pokoju.

Podniosła dumnie głowę i zaprowadziła go do salonu. Tam stanęła naprzeciwko niego jakby chciała mu dać do zrozumienia że nie życzy sobie przedłużać rozmowy. On zamknął drzwi i zbliżył się do niej śpiesznie, jak człowiek nie lubiący tracić napróżno czasu i odezwał się natychmiast:

— Prawdopodobnie pani nie wie wcale kim jestem?

— Nie mam zaszczytu znać pana, odpowiedziała bardzo ozięble:

— Muszę więc, odezwał się z żywością i niecierpliwie uwiadomić panią przedewszystkiem że jestem doktorem jej ojca...

Skinęła lekko głową, ale teraz już w jej spojrzeniu tak dumnym przed chwilą zaczyna przebijać jakiś niepokój.

— I że z jego polecenia przyjechałem tu po panią, ciągnął dalej wymawiając z przyciskiem każde słowo i wpatrując się w nią, jakby chciał się przekonać jakie wrażenie sprawi na niej ta wiadomość.

— Po mnie! pan przyjechał po mnie?... zawołała składając ręce z wyrazem przerażenia tak silnego że jej duma i oziębłość znikły nagle. To być nie może!

— Czemu? odpowiedziała spokojnie; cóż może być naturalniejszego nad to, że chory ojciec przywołuje do siebie swą jedyną córkę.

Zdawało jej się że wyrzekł to takim tonem jakby jej dawał napomnienie, i twarz jej pokryła się silnym rumieńcem.

— Zdaje mi się, rzekła wyniośle, że najlepiej nie wydawać zdania o tem czego dobrze nie znamy.

Jeżeli sądziła że tą odpowiedzią pobije przeciwnika, to zawiodła się bardzo, gdyż odezwał się spokojnie i zimno:

— A jeźli znamy?

— W takim razie, odpowiedziała niecierpliwie, nie pojmuję jak można podjąć się takiego polecenia.

Oczy doktora błysnęły także gniewem, zdawało się nawet że odpowie ostro na uczyniony mu zarzut; powstrzymał się jednak i powiedział dość spokojnie:

— Być może; ale w każdym razie niepotrzebnie byłoby zastanawiać się nad przekonaniami posła; idzie tu jedynie o jego posłannictwo.

Jeźli w odpowiedzi jego nie było tyle uszczypliwości co w słowach Idy, to przynajmniej zawierała w sobie tyle słuszności że zmusiła ją do milczenia. Zbliżył się do kominka i zaczął rozcierać ręce przy ogniu.

— No! rzekł tonem pojednawczym, poco zastanawiać się nad powodami mojego postępowania? Jestem tu jedynie narzędziem; a idzie głównie o to, że ojciec wzywa panią do siebie, i że jako małoletnia musisz zastosować się do jego woli.

— Czy rzeczywiście muszę? zapytała Ida trochę oburzona tą jego stanowczością. Wybacz pan że nie podzielam jego zdania i nie miej mi za złe jeźli zapytam czy ojciec mój nie dał panu jakiegoś listu do mnie?

W miejsce odpowiedzi wyjął z kieszeni pugilares i podał jej mały bilecik. Poznała od razu pismo ojca jakkolwiek widywała je bardzo rzadko, i przeczytała z niewysłowioną przykrością te kilka słów skreślonych drżącą jego ręką:

„Zastosuj się najściślej do rozkazów oddawcy niniejszego listu.

Twój ojciec,
Tomasz Latimer."

Podniosła głowę i rzuciła na pana Burnet gniewne i wyzywające spojrzenie. Dotąd nikt nie ośmielił się wydawać jej rozkazów; miałażby teraz odbierać je od tego człowieka zuchwałego, źle wychowanego i zajmującego podrzędne stanowisko? Ona, Ida! przed którą drżąc pochylają głowę nie tylko wszyscy domownicy, ale cała wieś, cała szkółka, a nawet pijacy. Pomimo zimna, krew zawrzała w jej żyłach, twarz bladła i rumieniła się naprzemian...

— Sądzę że pan wywiązał się już z powierzonego mu polecenia, rzekła stłumionym i drżącym głosem zwracając się ku drzwiom.

— Proszę zostać! zawołał bez ceremonii, zastępując jej drogę. Pociąg wieczorny wychodzi z Carnforth o ósmej minut pięć; czy pani chce?.. ale nie! trzeba wyjechać o tej porze.

Zatrzymała się i odpowiedziała zimno z lekkim ukłonem.

— Proszę nie troszczyć się o to jak i kiedy pojadę, to już zależy *tylko* ode mnie.

— Myli się pani, zależy to ode mnie także, odpowiedział żywo, rozdrażniony tonem jej głosu i lekceważącem spojrzeniem, ponieważ pojedziemy razem.

— Razem?.. powtórzyła rozgniewana, spoglądając dumnie na jego twarz ożywioną także gniewem; zdaję mi się że to byłoby już zbytecznem.

Poruszył się niecierpliwie, jakby miał wybuchnąć gniewem, powstrzymał się jednak i rzekł prawie grzecznie:

— Dla czego pani nie chce słuchać głosu rozsądku? Chętnie czy niechętnie, musi pani spełnić wolę jedynej osoby, mającej prawo wydawać pani rozkazy. Czy nie byłoby lepiej, nawet przyzwoiciej, zastosować się do niej bez okazywania tak wielkiej niechęci?

— Nic nie odpowiedziała, ale z wyrazu jej twarzy znać było że ta jego uwaga nie zrobiła na niej żadnego wrażenia.

— Jeźli, mówił dalej tonem sarkastycznym, jeźli ani uczucie, ani głos obowiązku nie mają żadnego wpływu na postanowienie pani, to może głos interesu będzie skuteczniejszym. Muszę panią ostrzedz, że odmawiając posłuszeństwa, wyrządzisz pani sobie większą krzywdę niżeli to możesz przypuścić. Ojciec pani jest chory, i...

— Ale czy rzeczywiście chory? bo to właśnie ulega wątpliwości! zawołała gwałtownie Ida, a silny rumieniec pokrył jej twarz i czoło. Zapewnie wiadomo panu, skoro pan tak dobrze jest powiadomionym o wszystkiem zresztą, że ojciec wzywał mnie już do siebie trzy razy, i to zawsze nagle, nie pozostawiając mi chwilki czasu na przygotowanie się do podróży. Raz było to nawet wśród nocy, a przyjechawszy do niego, przekonałam się że była to jedynie fantazya, chęć okazania swej władzy nade mną. Był równie zdrów jak ja lub pan...

— Obecnie, przerwał Burnet chłodno, może pani być spokojną, nie cieszy się takiem zdrowiem jak nasze.

Ida milczy, ale twarz jej nie wyraża więcej pojednawczego usposobienia, a przeciwnik śledzi ją badawczym wzrokiem. Może po trzech minutach milczenia, które osobom zostającym w podobnem położeniu musiało wydawać się bardzo długiem, doktor Burnet odezwał się znowu:

— Pociąg z Carnforth wychodzi o ósmej minut pięć; do stacyi mamy blizko siedm mil, a że droga bardzo zła, wypada nam wyjechać co najmniej o siódmej.

Ukłonił się i otworzył jej drzwi, przez które Ida wysunęła się śpiesznie, nie patrząc już na niego, nie podnosząc głowy pochylającej się pod ciężarem doznanego upokorzenia. Gdyby wieśniacy, uczniowie i uczennice miejscowej szkółki, lub nawróceni pijacy zobaczyli ją teraz, nie chcieliby uwierzyć swym własnym oczom!

IV.

Wieczór się zbliża; pozasuwano w całym domu firanki i zapalono wszędzie światło z wyjątkiem galeryi w której stoi choinka samotna, opuszczona; wszyscy zapomnieli o niej, a myślą o tem jedynie że Ida wkrótce wyjedzie. Tak, Ida odjeżdża, pomimo swych dumnych spojrzeń, wyzywających słów i pałającej gniewem twarzy. Wszystko to na nic się nie zdało, jak się to zresztą zdarza najczęściej na świecie.

Powóz miał zajechać punkt o siódmej, a że było dopiero po szóstej, osoba rozsądna korzystając z tego czasu, byłaby posiliła się czem na drogę, aby mróz i głód nie dokuczał jej tak bardzo; ale Ida nie pomyślała nawet o tem. Siedząc przy wuju w bibliotece wydawała mu jeszcze rozporządzenia i rozkazy, których słuchał z głęboką uwagą. Wsparła głowę na jego ramieniu, i płacze na pół ze złości na pół ze smutku, a wuj litując się nad nią ociera łzy płynące z jej oczu.

— Tak, sądzę że nie można było uczynić inaczej, rzekł z boleścią słabym głosem. Zresztą trudno byłoby nam oprzéć się temu. Następnie dodał pewniejszym już głosem: Doprawdy Ido, on wygląda na uczciwego człowieka.

— Tak sądzisz, drogi wuju? Bardzo mi przykro że nie mogę podzielać twego zdania; podług mnie trudno byłoby spotkać równie przykrej fizyognomii.

— Może masz słuszność, odpowiedział łagodnie pan Marlowe. Nie znam się tak dalece na tem.

— Nie wiem doprawdy jak tu sobie dacie radę beze mnie, rzekła Ida z bezwiedną zarozumiałością.

— Ja także nie wiem, odpowiedział wuj pokornie.

— Jestem pewna że za powrotem zastanę wszędzie najstraszniejszy nieład.

— O! z pewnością.

— Staraj się nadać sobie trochę powagi, drogi wuju, rzekła napominającym tonem.

— Będę sie starał, odpowiedział szczerze.

— Niepokoję się o Janinę, mówiła dalej Ida. Jest to dobra dziewczyna ale zbyt samowolna. Ida nie czuła tego bynajmniej, że to samo i bardzo słusznie możnaby jej także zarzucić. — Staraj się utrzymać ją w posłuszeństwie.

— Dobrze, skoro tego żądasz.

— Zofia Tarlton przyrzekła mi że się zajmie moimi pijakami, mówiła dalej. Zostawiłam jej do przeczytania broszurki wydawane przez Towarzystwo wstrzemięźliwości. Nie wiem tylko czy zajmie się tem dość gorliwie? Mój wuju, przypominaj jej uczynioną mi obietnicę.

— Dobrze, Ido.

Zamilkli na chwilę słuchając świstu wiatru szalejącego na dworze. Ida zadrżała.

— Za jakież grzechy zostałam skazaną na odbycie stu pięćdziesięciu mil w taki czas i w takiem towarzystwie zawołała z gniewem i pogardą.

— Kto wie, może też nie będzie znów tak bardzo przykrem, odezwał się wuj chcąc ją uspokoić. Może ten pan będzie przyjemnym towarzyszem podróży?

— Nie będzie miał sposobności okazania się przyjemnym lub nieprzyjemnym, odpowiedziała wyniośle Ida; jeźli nie mogę uniknąć jego obecności, to przynajmniej nic mnie nie zmusza do prowadzenia z nim rozmowy. Nie przemówię jednego słowa.

— Jakto, nawet jednego przez całą drogę z Carnforth do Euston? zapytał z niedowierzaniem.

— Tak, z pewnością.

Wybiła siódma, powóz czekał przed bramą, i miss Latimer zbrojna w tak szczytne postanowienie, wyszła do pokoju w którym już czekał na nią towarzysz podróży, nie domyślający się bynajmniej jej nietowarzyskiego usposobienia.

Całe towarzystwo otoczyło Idę, wszyscy ją żegnają z płaczem, ściskają i całują. Nikt nie ma czasu myśléć o panu Burnet, który też otula się spokojnie płaszczem i wkłada na ręce grube wełniane rękawiczki.

— Bądź zdrów, kochany wuju! zawołała Ida zarzucając mu ręce na szyję, a jakkolwiek głos jej drżał lekko ze wzruszenia, czuć w nim było jakiś rodzaj opiekuńczej powagi. Nie zapominaj o tem co mówiłam, i staraj się abym po powrocie zastała tu wszystko w porządku.

— Bądź spokojna Ido, zawołała Janina z wyrazem najgłębszego zaufania w sobie; jeźli nie wrócisz do nas w niedzielę, zastąpię cię w szkółce i będę prezydować na posiedzeniu Matek chrześciańskich i Towarzystwa wstrzemięźliwości.

Emilia milczała, gdyż łzy głos jej tłumiły, a mały Ryszardek krzyczał tak przeraźliwie że trzeba go było wynieść z pokoju, przyczem wydzierał się z rąk służącego, bił go i wrzeszczał co miał siły, oskarżając świece że to one wszystko złe sprowadziły. Ida nakoniec pożegnała się ze wszystkimi i miała już wsiąść do powozu kiedy zatrzymała się nagle i spojrzała w koło. Gdzież się podziała jej pokojówka, która obecnością swą miała ją uwolnić od niemiłego towarzysza, gdyż powóz był tylko na dwie osoby.

— Gdzie jest Griffiths? Powiedzcie jej że czekam na nią.

— Pojechała naprzód z rzeczami.

Ida doznała takiego wrażenia jakby ta wiadomość była przepowiednią jakiegoś nieszczęścia. Ale wszakże przytomność umysłu i silna wola mogą wyprowadzić z trudniejszego jeszcze położenia; tylko chcąc otrzymać zwycięztwo, musi koniecznie złamać śluby milczenia i przemówić do swego towarzysza podróży; zwróciła się więc do niego i rzekła zimno:

— Zapewnie pan zechce zapalić cygaro? Możemy obyć się bez służącego, i będzie miejsce na koźle.

Śnieg gnany wiatrem zmuszał ją do przymrużenia oczu, nie widziała więc ile złośliwości wyrażała twarz jego gdy odpowiedział z ukłonem:

— Najmocniej pani dziękuję; nie palę nigdy, a ponieważ nie straciłem jeszcze zupełnie kataru, wolę wsiąść do powozu.

Nie mogła mu tego zabronić, a że nie było czasu

do stracenia, i nie chciała zresztą stać dłużej na śniegu, wskoczyła niecierpliwie do powozu, on natychmiast usiadł przy niej, i konie ruszyły prędko. Zaledwie zdołała pożegnać jeszcze spojrzeniem tak drogie jej osoby.

Tak więc zostaną przez kilka godzin sam na sam, siedząc tuż obok siebie, a w najnieprzyjaźniejszem dla siebie usposobieniu i z silnem postanowieniem nieukrywania tego wcale. Ida w tym celu wcisnęła się w róg powozu i obcisnęła koło siebie futro, ale na nieszczęście było zbyt ciemno aby mógł to widzieć, odgadnąć jej intencye, i nie dowie się do końca życia że uczyniła to dla uniknienia najlżejszego zetknięcia się ze swym towarzyszem. Przy bramie wjazdowej spuściła okno, aby pożegnać życzliwem słówkiem odźwiernego, który wyszedł im otworzyć z latarnią w ręku i w dużej chustce na głowie. Wyjechali na gościniec już grubo pokryty śniegiem, ale konie są dobre i szybko idą. Mróz silny; Ida podniosła do góry kołnierz futrzany aby zabezpieczyć głowę, coraz głębiej zasuwa ręce w mufkę i marzy o przeszłości, o swem życiu czynnem, użytecznem, i znów nasuwa jej się pytanie: „Jak oni tam poradzą sobie beze mnie?"

Potem myśl jej zwraca się w przyszłość, lecz ta przyszłość przybiera na siebie rysy jej ojca, mało wprawdzie znane ale budzące w niej obawę. Ojciec ten jest już w późnym, bardzo późnym wieku, i nigdy nie przebywała w jego domu, ponieważ matka nie mieszkała razem z nim w ostatnich latach swego krótkiego i cnotliwego życia. Ojciec jej nie żył nigdy w zgodzie z jej wujem, a o tem jakie było jego życie, wiedziała tylko to co usłyszała przypadkiem, ale byłoby lepiej gdyby nic nie słyszała.

Poruszenie towarzysza przerwało jej przykre marzenia. Czy zamierza spać? Byłaby to nowa impertynencya... Po chwili usłyszała trzeszczenie pocieranej zapałki, i prawie jednocześnie zobaczyła mały płomyczek, który zbliżono natychmiast do świecy, i mała podróżna latarka oświeciła wnętrze powozu. Doktor Burnet odezwał się wtenczas do niej z zimną grzecznością.

— Mam z sobą książkę którą chciałbym przeczytać, jeźli tylko światło nie przeszkadza pani.

Nie odebrał żadnej odpowiedzi. Ida nie chciała przyczynić się niczem do uprzyjemnienia mu drogi.

— Nie może to sprawić pani żadnej przykrości, odpowiedział trochę niecierpliwie, nawet spać nie przeszkodzi. Nie mamy oboje ochoty do rozmowy, a dla mnie wiele znaczy jeżeli mogę choćby godzinę czytać spokojnie.

— Zostawiam to zupełnie woli pana, odpowiedziała obojętnie.

Przyczepił natychmiast latarkę do poduszki za sobą, i otworzył książkę. Ida usiłowała wrócić myślą do zajmującego ją przed chwilą przedmiotu, przedstawić sobie ojca, obmyślić sobie plan postępowania w ten sposób aby mogła mu być użyteczną choćby wbrew jego woli; ale usiłowania jej były nadaremne. Nie dla tego aby jej światło przeszkadzało, bo nie padało na nią wcale, i oświecało tylko książkę, rękaw i rękę sąsiada, ale że ją drażniło już to samo że zapalił światło. Znalazła także nowy powód niechęci do Burnet'a w tem, że objawił tak otwarcie niechęć do rozmowy z nią, byłaby jej z pewnością nie rozpoczęła, ale życzyła sobie aby on mówić zaczął. Zresztą opanowało ją to uczucie ciekawości, którego doznajemy zwykle podróżując z kimś nieznajomym, zachęcające nas abyśmy starali się zobaczyć co czyta, a tym sposobem mogli wyrobić w sobie jakiś sąd o nim. Był to *Przegląd XIX wieku*; ale to nie dość jeszcze, trzeba było dowiedzieć się także jaki artykuł w nim czyta. Tego nie mogła dostrzedz, widziała tylko że są tam ustępy wierszem i prozą.

Długo opierała się pokusie, a w końcu zaczęła się przysuwać ostrożnie, nieznacznie, i widząc że jej to pójdzie z łatwością, postanowiła czytać przez ramię swego nieprzyjaciela. Był to artykuł o antologii greckiej, w którym zamieszczono niektóre skarby starożytnej poezyi, przełożone wierszem na angielski język. Przeczytała tak blizko dwie strony, i zapomniała o zimnie, o swym ojcu, o towarzyszu podróży, a nawet o sobie samej. Przebiegała właśnie oczyma jakieś pełne gorącego uczucia wiersze, gdy, zanim przeczytała ostatnią strofę, pan Burnet przewrócił kartę.

Pomimowolnie krzyknęła lekko i wyciągnęła rękę aby go powstrzymać, ale już sam ten ruch przywrócił jej pamięć. Wsunęła się napowrót w sam róg powozu, zawstydzona, pocieszając się jednak myślą że nie dostrzeżono jej wykroczenia przeciwko osobistej godności. Omyliła się jednak.

— Pani mówiła do mnie? zapytał Burnet, zwracając ku niej głowę.

— Ni...e... to kaszel...

— Przepraszam! rzekł zimno; zdawało mi się że coś mówiła.

W dalszym ciągu podróży Ida siedziała już nieruchoma i milcząca, tylko w myśli czyniła sobie ostre wyrzuty, wskutku czego znienawidziła antologią i zapomniała że tam w domu na każdym kroku brak jej uczuwać się daje.

V.

Pusto było na platformie Karnfort gdy dojechali do tej stacyi, gdyż wicher spędził z niej podróżnych z wyjątkiem posługaczy i paru panów owiniętych w płaszcze, oczekujących na nocny pociąg. W sali zastała z pół tuzina zziębniętych kobiet, mruczących z niezadowolnieniem gdy musiały usunąć się trochę, aby usiadła bliżej kominka.

Pociąg się spóźnił; czas wydawał jej się bardzo długim. Ida siedząc przed kominkiem nadsłuchiwała bacznie odgłosu dzwonka i świstu lokomotywy, które nareszcie dają się słyszeć z oddali. Wszystkie kobiety powstały prędko, chwytając swe podróżne worki i koszyczki, i wychodząc jedne same, drugie w towarzystwie mężów. Towarzysz podróży Idy daje jakoś czekać na siebie, ale nareszcie głowa jego ukazuje się we drzwiach.

— Proszę, chciej pani wyjść, rzekł tylko.

Poszła za nim w milczeniu. Gdy doszli do wagonu i Burnet otworzył drzwiczki, Ida rzekła krótko:

— Proszę chciej pan zawołać mojej panny służącej, bez niej nie mogę podróżować.

— Bardzo mi to przykro, ale dziś będziesz pani musiała obejść się bez niej; chodziłem właśnie dowiedzieć się, ale ani ona ani pakunki pani nie przybyły jeszcze.

— Nie przybyły powtórzyła rozpaczliwie; więc nie pojadę, chcę czekać tu na nią.

— Niepodobna, odrzekł stanowczo; najpierwszy następny pociąg odchodzi dopiero o pięć minut na osmą, a ja dałem słowo że przywiozę panią jak najwcześniej, więc wsiadaj, proszę.

Powiedział to głosem tak stanowczym, służba kolejowa śpiesznie zamykała drzwiczki wagonów, a sama tak była niepewna i zniechęcona iż nie umiała stawić oporu. Wsiadła więc do wagonu pokonana po raz trzeci w przeciągu kilku godzin i zaślepiona gniewem.

Znowu więc pozostają sam na sam z sobą, tylko i tym razem na daleko dłużej, z tą tylko różnicą że ponieważ w wagonie było przestrono, mogli więc siedzieć dalej od siebie i nie pod jedną kołdrą.

Okno wagonu spuszczone było ze strony, po której siedziała Ida, i im pociąg biegł śpieszniej tem silniejszy i ostrzejszy wicher w twarz ją zacinał. Nic nie mówiąc, Burnet wstał i chciał spuścić okno; gdyby jechała sama, zrobiłaby to niezawodnie, ale gniewało ją że nie żądając pozwolenia chciał oddać jej tę przysługę, więc wiedziona niedorzecznym duchem sprzeczności, rzekła oschle:

— Proszę nie zamykać, wolę żeby okno było otwarte.

— *Otwarte*!... powtórzył z niewymownem zadziwieniem, patrząc na nią z niedowierzaniem—*otwarte w taką noc!*... To chyba żarty!...

— Bynajmniej! odrzekła krótko, nie dozwalając aby mógł przypuszczać że chce z nim żartować i zła sama na siebie, gdyż czuła że popełnia niedorzeczność. — Bynajmniej! lubię takie powietrze.

— Doprawdy! odpowiedział z lekkim uśmiechem i wzruszaszając ramionami, no, to możesz pani nasycić się niem do woli.

I usiadł na swojem miejscu, okrywając się drugą kołdrą. Tak więc Ida postawiła na swojem, ale tak w tej jak i w wielu innych okolicznościach, zwycięzca był godniejszym pożałowania od zwyciężonego. Nie upłynęło pięć minut, a już żałowała swego zwycięztwa; nigdy jeszcze myślała sobie, twarz jej nie była wystawiona na wiatr równie ostry i zimny, zacinający jak ostrze brzytwy. Próbowała zasłonić się mufką, ale wtedy żartując sobie z futra jakie miała na sobie, wicher zakradał się w rękawy, podwiewał pod szubkę. Krew ścinała jej się w żyłach, ale postanowiwszy uzbroić się spartańskiem męztwem, nic nie powiedziała, przez długie jak jej się zdawało godziny, a w rzeczywistości przez jakie dziesięć minut. Spojrzała ukradkiem na swego nieprzyjaciela i zdało jej się że zasnął, z czego korzystając chciała spuścić okno, ale zziębłe i zesztywniałe ręce nie mogły tego dokazać. Wyrzekając się tego zamiaru, probuje zmienić miejsce i siada na środkowem siedzeniu, ale i tu wiatr ją dogania; przesiaduje się naprzeciwko, nic nie pomaga, wicher dmie w najlepsze całe wnętrze wagonu zamieniając w lodownię. I znów spojrzała na swego sąsiada śpiącego snem niewinności; wstała znowu probując spuścić okno, ale i tym razem usiłowania jej spełzły bezowocnie.

Z bólem w sercu wróciła na pierwsze miejsce, i łzy upokorzenia i gniewu popłynęły z jej oczu. A! trzeba być pozbawionym wszelkiego uczucia delikatności i ludzkości, aby spać tak spokojnie gdy ktoś cierpi tak bardzo! Siedziała zasłaniając twarz chustką; wtem zadrżała usłyszawszy tuż obok wymówione słowa:

— Czy zawsze lubi pani takie powietrze, lub czy już nim się nasyciłaś?

Spojrzała na niego, ale złamana fizycznem cierpieniem zapomniała o swej osobistej godności, i nie starała się ukryć łez zaskrzepłych na twarzy. Skinęła tylko potwierdzająco głową, gdyż zdawało się że i głos jej zamarzł, ale tym razem nie chciał zamykać okna bez jej upoważnienia.

— Czy ma się to znaczyć że chce pani żeby spuścić okno? rzekł ceremonialnie ale zarazem z pewnym odcieniem szyderstwa.

— Zamknij pan, zamknij, odrzekła nareszcie z westchnieniem, a zęby jej dzwoniły tak mocno, że zaledwie mógł dosłyszeć co mówi.

Jednem silnem szarpnięciem spuścił szybę i słaba ta zapora stanęła między nią a lodowatem wichrem. Burnet powrócił na swoje miejsce i kichnął kilka razy. Tak więc mogła mieć tę, co prawda

jedyną pociechę, że nieprzyjaciela swego większego nabawiła kataru. Ale i ona tak zziębła że do końca podróży rozgrzać się nie mogła; tak jej zimno że nie może zasnąć, nie może czytać, nie może nawet myśléć o czemś innem jak o zimnie. Zdało jej się że nigdy się nie skończy ta noc zlodowaciała, te przestanki na pustych dworcach, to niepewne światełko lampy, padające na poduszki wagonu i nieruchomą postać siedzącą w przeciwnym rogu. Już sama ta nieruchomość gniewa ją i drażni. Burnet spał bo przez trzy noce poprzednie nie kładł się nawet wcale, ale jej się zdawało że chyba umarł skoro jest tak nieruchomy, dopiero gdy poruszył się, kichnął i zmienił trochę położenie, uspokoiła się widząc że żyje. Spojrzał na nią i zobaczył że patrzy na niego. Noc upływała nie skrócona choćby najkrótszą rozmową lub choćby chwilką snu; nareszcie po pierwszej stanęli na stacyi Euston. Ponieważ nie mieli rzeczy na których odbiór trzebaby czekać, więc natychmiast wsiedli do powozu, który przesuwał się wolno po ludnych ulicach nie śpiącego jeszcze miasta.

Z Euston do Belgrave jest dość daleko, a po zamarzłym bruku, powozem w jednego konia nie można jechać prędko. Dojechali nareszcie do ulicy *** Ida była bardzo zmęczona i w stokroć gorszym humorze niż gdy opuszczała ostatnią stacyą. Jakaś grzeczna niby, ale zaspana najemnica otworzyła im drzwi; zobaczywszy ją Burnet, mimowolnie rzekł półgłosem.

— Zapewnie wszyscy śpią.

Wyprzedziwszy Idę, poprowadził ją najpierw na gołe kamienne schody; potem na drugie piętro, po drewnianych także bez kobierca schodów; i nareszcie zatrzymał się przed drzwiami w korytarzu.

— Zaczekaj tu pani chwilkę, rzekł cicho.

I lekko zapukał do drzwi, które zaraz otworzyła doglądająca chorego; przymknął je tylko za sobą, więc Ida mogła widzieć pokój oświecony nocną lampką i ogniem płonącym na kominku, a w nim wielkie łóżko.

— A! jesteś pan przecie! mruknął głos słaby i złamany; bardzo mnie pociesza myśl żeś się zbytecznie nie spieszył.

— Powróciłem jak było można najśpieszniej, odparł spokojnie Burnet.

— I przywiozłeś moją Kordelię? rzekł znów z ostrym i szyderskim śmiechem.

— Miss Latimer przyjechała; czy chcesz pan widzieć ją zaraz?

— Cóż znowu!... nic nie nagli... można bardzo na później odłożyć tę przyjemność, rzekł kwaśno.

— Ciszej! rzekł Burnet, oglądając się niespokojnie na drzwi, po za któremi stała jego towarzyszka podróży. Wyszedł i powiedział do niej:

— Chory jest teraz mocno cierpiący, i dla tego wolałby odłożyć widzenie się...

— Dziękuję, odrzekła z szyderskim uśmiechem, ale nie trudź się pan daremnie—na nieszczęście nie jestem głucha i słyszałam dobrze iż podobną przyjemność można odłożyć.

Burnet poszedł do chorego z zakłopotaną miną, ale wkrótce powrócił do niej; stała ciągle pod drzwiami nie wiedząc gdzie się udać. Głos i oczy jego zdradzały szczere współczucie.

— Przykro mi bardzo, rzekł i nie wiem jak to pani oznajmić, ale zdaje mi się że podczas mojej nieobecności, ojciec pani odprawił wszystkich służących—jest to jedna z jego manii, nie pierwszy raz tak czyni; w całym domu nie ma nikogo prócz najemnicy co nam drzwi otworzyła.

Ida nic nie odpowiedziała; dodał więc mocno rozdrażniony:

— Powiada iż nie mógł znieść tej myśli że zgraja próżniaków żyje jego kosztem, podczas gdy on ruszyć się nie może... A pani nawet panny służącej nie masz z sobą. Cóż *zrobimy?* dodał z pewnem współczuciem.

— Nie troszcz się pan o to, odrzekła, obrażona najniesłuszniej iż ośmielił się mówić jakby o obojgu; wyjeżdżając tu przygotowana byłam na wszelkie niegodziwości i zniewagi.

Ostatnie słowa wypowiedziała takim tonem iż rozwiał współczucie jakie jej okazał.

— *Niegodziwości i obelgi!* powtórzył pogardliwie; nie znasz pani widocznie wartości tych słów, skoro mogłaś użyć ich obecnie. Któżby tu mógł nawet pomyśléć o wyrządzeniu pani jakiejś obelgi.

Po chwili dodał tonem nieco łagodniejszym, ale z pewną niecierpliwością:

— Wszystko poszłoby lepiej, gdybyś pani chciała być rozsądniejszą. Ale widzę że nic nie odpowiada, i pomimo dumnego spojrzenia zdaje się zgnębiona nudami i znużeniem, rzekł łagodnie: Darmo, nie możesz pani przecie pozostać tu na noc, proszę chciej iść za mną.

Poszedłszy naprzód zatrzymał się przed innemi drzwiami w tymże korytarzu, poczem otworzył je, mówiąc: Kazałem aby pokój ten przygotowano dla pani.

— Jak może tak się wyrażać? czyż to jego dom i jego służba? W każdym razie źle bardzo wykonano jego rozkazy. Zaraz po wejściu dało się uczuć zimno niezamieszkałego pokoju; zapalone świece i ogień na kominku, niezdolne były rozgrzać przeziębłych członków i zesztywniałych myśli młodej dziewczyny. Przed zaledwie rozpalonym ogniem, na który służąca dmuchała z całych sił, stały krzesła ustawione w półkole, a na nich porozkładane były materace i poduszki aby przeschły i ogrzały się nieco; gdy drzwi się otworzyły, przestała dmuchać i mały rozniecony płomyk zgasł w tej chwili.

Spojrzawszy na pokój, Burnet nie ukrywał swego niezadowolnienia, i chciał już zacząć łajać, ale nie uczynił tego zastanowiwszy się iż odprawienie służby było powodem nie spełnienia jego rozkazów. Nic nie mówiąc, porwał za miech i przyklęknąwszy przed kominkiem zaczął dąć tak silnie iż wkrótce buchnął jasny płomień.

Ida patrzyła na niego w milczeniu; słówko tylko przemówiła do służącej, która zapytała czyby nie przynieść filiżanki herbaty. Gdy ogień zajaśniał, Burnet powstał z zadowolnieniem człowieka który pięknego dokonał dzieła, i przysuwając się z miechem w ręku, rzekł prawie wesoło:

— Prawda że teraz lepiej?

Zimno skinęła głową.

— Lepiej, a jednak wcale nie dobrze, dodał, rozglądając się do koła, i przenosząc wzrok następnie na Idę w nadziei ujrzenia choć najlżejszej oznaki wdzięczności za podjęte trudy.

— Dziękuję panu, rzekła oschle. Tego wieczora, gdyby chciała nawet, nie mogłaby odzyskać swego dobrego humoru, a cóż dopiero nie chcąc tego bynajmniej.—Spodziewałam się tego co mnie spotyka, dodała.

Usłyszawszy te słowa przestał spoglądać na nią przyjaźnie; odwróciwszy się, rzucił miech i równie w złym humorze jak ona, zwrócił się ku drzwiom i wyszedł nie powiedziawszy ani słówka, nie ukłoniwszy się nawet.

VII.

Ta pierwsza noc spędzona pod dachem ojca, najprzykrzejsze w pamięci Idy pozostawiła wspomnienie. Nic nie było przygotowane do rozebrania, nie było nawet szczotki ani grzebienia, słowem niczego, a na domiar nieprzyjemności, prześcieradła były wilgotne. Nie mogąc zasnąć, przewracała się ciągle na niewygodnem posłaniu, aż nareszcie nadszedł dzień posępny i ciemny. Wstała i otworzywszy wewnętrzne okiennice wyjrzała na zasłaną śniegiem ulicę, już brudnym choć zaledwie spadł, nic niepodobnym do niepokalanego śniego wiejskiego. Miejscami, z pośród drzew, wyłaniały główki nędzne i przemarzłe chryzantemy; z kolei przeniosła wzrok na niezliczoną liczbę najrozmaitszych kominów rozsianych po dachach. Nadjechał wózek z nabiałem, a cynowe naczynia z mlekiem wydawały dziwny odgłos uderzenia o siebie. Podobne widoki musiały wzbudzić w jej umyśle przykre porównanie z tem co przedstawiało się jej oczom w jej ukochanem *ad home.*

Ubrawszy się naprędce, o ile się dało kiedy komu grzebień zastępują paznogcie, a dłoń szczotkę, posiliwszy się herbatą i kawałkiem mięsa przyrządzonym przez najemnicę, jedyną jej opiekunkę, wyszła z pokoju chcąc rozejrzéć się po mieszkaniu. Nie znała go wcale, gdyż ojciec zajmował inne podczas jej ostatnich odwiedzin, a choć wnętrza domów londyńskich odznaczają się smutną jednostajnością, lepiej zawsze znać położenie nieznanych miejsc, do których poniosły nas smutne losy.

Otworzyła wiele drzwi, przeszła wiele pokoi, niby żona Sinobrodego, i wszędzie zobaczyła: pozwijane kobierce, poskładane firanki, krzesła poosłaniane pokrowcami, jedne stojące na ziemi, inne leżące na nich nogami do góry; lampy poobwijane, pozasłaniane obrazy; statuetki i popiersia jakby całunem pokryte. W umyśle jej powstała myśl straszna jak zmora dusząca we śnie: czyż przeznaczeniem mojem pędzić życie samotne w pośród tych zapakowanych przedmiotów?... Nareszcie weszła do biblioteki, i odsuwając białą płócienną firankę osłaniającą pułki, zaczęła czytać tytuły dzieł. Na dole leżały ciężkie *in quarto* nigdy przez nikogo nie otwierane, poważni klasycy, uczeni teologowie, encyklopedye, roczniki; na wyższej półce książki poręczniejszego formatu. Spiąwszy się na palce, wyjęła jednę i chciała przeczytać tytuł, gdy w tem drzwi się otworzyły i wszedł ktoś widocznie jej szukający; była to dozorczyni, poważna i schludnie ubrana, którą spostrzegła w nocy w pokoju ojca.

— Przepraszam panią, rzekła, ale pan Latimer pragnie ją widzieć.

— A! zawołała Ida, kładąc prędko książkę i wychodząc z za firanki, idę zaraz.

Idąc za przewodniczką po zimnych schodach, starała się uspokoić bicie serca i dokazała tego nareszcie, myśląc sobie że taktem, uszanowaniem i słodkiem obejściem zdoła pozyskać życzliwość ojca, a rozmowami swemi obudzić w nim lepsze usposobienie.

— Zawsze tak wielki wpływ wywierałam na otaczające mnie osoby, mówiła sobie myśląc o dobrodusznym panu Marlowe.

Doszły do drzwi pokoju chorego i już miały wejść, gdy Idzie przyszła myśl do głowy, którą wypowiedziała ostrym głosem, z płomieniejącym wzrokiem:

— Czy ojciec jest sam? zapytała z podejrzliwą miną; czy pewna pani jesteś że jest sam?

— Jak najpewniejsza, odpowiedziała.

Weszły razem.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 34.

(Dokończenie.)

N. 7—8. Ubrania dla panienek lat 7—8.

N. 7. Sukienka przybrana wszywkami i koronką.

Białe koronki z siatki gipiurowej 9 cent. szerokie i wszywki $4^1/_2$ cent. szerokie, służą do przybrania sukienki z bronzowej satynki. Wzdłuż przodów naszyte cztery pasy wszywki, podwleczonej kolorową wstążką, przedzielone drobnemi zakładkami; przez plecy dane tylke dwie wszywki. Sukieneczka formą princesse, ogarnirowana trzema falbankami, 13, 8 i 7 cent. szerokiemi, przemarszczanemi w górze Dolna falbanka oszyta koronką, przysłaniającą plisowanie 7 cent. szerokie.

N. 8. Sukienka zdobna haftem.

Odrobiona z białej brylantyny w wązkie paski, formą princesse zapinaną z przodu, dopełniona na długość haftowanym plisowanym wolantem 24 cent. szorokim. Wierzchem falbany dzierganej w zęby, na 6 cent. odstępu od dołu dana plisa 3 cent. szeroka, takaż plisa przyszywa wolant u góry. Szlaki haftowane 4 cent. szerokie naszyte gładko wzdłuż przodów i przy patkach bocznych, przytwierdzonych guzikami. Szarfa fałdowana związana w wielki węzeł, z tyłu jest dana z materyi jedwabnej niebieskiej i liczy 48 cent. szerokości; końce wysiepane na 5 cent.

N. 11—14. Serwetka na stół ozdobiona haftem.

Serwetka taka kładzie się na obrusie przykrywającym stół i liczy 120 cent długości a 60 szerokości; model był z żółtawego płótna domowej roboty z wyszyciem ściegiem tamburkowym. Kontury deseniu dane kolorem ponsowym, szafirowym lub żółtym; środki kwiatów i figur zapełnione ściegiem łańcuszkowym, sznureczkowym i tym podobnemi. Ryciny 12—14 załączają cząstki deseniu, z wyraźnem odznaczeniem ściegów użytych do wyszycia. Brzegi serwety zakończone obrębem odznaczonym kratką ażurową.

N. 16—17. Kołnierze dla dzieci. Patrz ryc. 20—21 w N-rze 33.

Ryciny 16 i 17 przedstawiają dwa kołnierze z białego batystu, ozdobione haftem z kolorowej bawełny. Kołnierz okrągły ryc. 14 liczy w obwodzie wykroju 34 c., szerokości zaś tylnej $7^1/_2$ c. Haft składają naprzemian gałązki niebieskie, różowe, fijołkowe i ponsowe, dodawane przy gwiazdkach innego koloru, ząbki brzeżne dziergane ponsowo. Ryc. 20 w N. 33 wskazuje deseń wyszycia Kołnierz ryc. 17 ma brzegi dolne krajane prosto i liczy 26 cent. wzdłuż tylnego brzegu, 19 z boków, szerokości zaś z tyłu 9 cent.; na tle dany rzucik ponsowy i oliwkowy, szlaczek zaś popielaty z niebieskim.

N. 18—19. Suknia z bluzkowem vêtement dla młodej panienki.

Rycina 18—19 przedstawia vêtement z wykrojem kwadratowym, lub zachodzące pod szyję włożone na sukni princesse. Fałdowane przody i plecy układają się na gładkiej dobrze dopasowanej podszewce, w fałdy po 3 c. szerokie, od pasa luźno puszczone. Podpięcie vêtement z boków i środkiem tylnego bryta, dopełnia się przez kilkakrotne przemarszczanie. Kokardy i pasek z wstążki 4 cent. szerokiej.

N. 22—23. Koszule dzienne haftowane.

Koszula z karczkiem zapinanym z przodu, ozdobiona jest kolorowym haftem bawełną ponsową i szafirową, zaś na ryc. 23 przedstawiamy model z cienkiego płótna, z karczkiem zapinanym na ramionach, wzdłuż którego jakoteż i na rękawkach dany jest haft biały atłasowy. Brzegi oszyte niciana koronką, 2 cent. szeroką.

N. 24—25. Kaftaniki nocne z kolorowym haftem.

Uszyte z cienkiego białego szyrtyngu, formą puszczoną liczą z przodu 59, z tyłu 65 cent. długości; na zakładeczki zastębnowane w całej długości, trzeba przy krajaniu dodać materyału i wykrój szyi dopasować po ich zaszyciu; rękawy również krają się dłużej. Wykrój szyi wszywa się w pasek 3 cent. szeroki lub garniruje falbaneczką, przystębnowaną pliską. Kolorowe wyszycia tak modne obecnie do bielizny i tu są zastosowane; na r. 24 dane między zakładkami wyszycie krzyżykowe, bawełną niebieską, brzeżki 4 cent. szerokie dziergane w ząbki są też kolorowe. Kaftanik ryc. 25 zdobny zakładkami przedzielanemi w równych odstępach paskami greckiego szlaczku, wyszytego krzyżykami; na rękawach prócz zakładek i szlaczku dany wykład ogarnirowany koronką i wyszyty brzegiem. Duże płaskie płócienne guziki ozdobione są także wyszyciem kolorowem.

N. 27—30. Łóżeczko z kotarą i kołderka dla dziecka.

Dębowe łóżeczko pięknie odrobione, z ozdobami rzeźbionemi, przysłonięte jest kotarą z kretonu meblowego, na którą potrzeba trzech brytów materyału po 80 cent. szerokości a po 200 cent. długości, oszytych z brzegów koronką niciana 6 cent. szeroką; kokardy z wstążki 7 c. szerokiej. Kołderka 89 cent. szeroka, 154 cent. długa, odrobiona jest szydełkiem w deseń naśladujący wyszycie krzyżowe. Każde oczko roboty liczy się za jeden krzyżyk; przy zmianie kolorów deseniu, zmienia się nitkę roboczą, tak ją przerabiając aby pentelka na szydełku była stosownego do deseniu koloru. Na kołderce odrobionej z grubej bawełny białej, deseń był ponsowy z niebieskim, nitki przeprowadzone od jednej do drugiej części deseniu idą w środek oczek, przez co robota jest bardzo mocna i gładka z obydwóch stron, Tylko robiąc środek kołdry gdzie mało deseniu a wiele tła białego, nitki kolorowe odcina się po skończeniu deseniu i zamocowywa. Ryc. 29 przedstawia część szlaczku węższego, idącego z brzegów szerokiego szlaku stanowiącego główną ozdobę kołdry; widzimy na niej jak pasy krzyżują się z sobą dla odznaczenia narożników. Szeroki szlak przy kołderce liczy 51 oczek deseniu, kwadraty w narożnikach również liczą 51 oczek. Kołderka zaczyna się jednym rzędem białym, po nim następuje rząd ponsowy, dalej znów biały i szlaczek 5 oczek szeroki, po za szlaczkiem rząd biały i ponsowy. Drugi wyżej odznaczająey się szlaczek jest już ponsowy z niebieskim; ten właśnie deseń przedstawiliśmy na ryc. 29. Środkowe tło kołderki po za szlakami jest robione pikowym ściegiem jaki wskazuje ryc. 30. Robotę ściegu pikowego opisywaliśmy już dawniej, dodamy tylko że wypukły rzucik idący przez trzy rzędy tła, przerabia się wierzchem dwóch poprzedzających rzędów, przeciągając słupki podług ryc. 30 i zrabiając je w trzecim rzędzie pentelką przewleczoną podług kierunku strzałki.

N. 31—32. Materac z przypiętem prześcieradłem.

Na ryc. 31—32 podajemy bardzo praktyczny sposób przypinania prześcieradła do materaca, zabezpieczający od zsuwania się takowego, co szczególniej dogodne jest dla osób słabych, zniewolonych leżyć w łóżku. W tym celu w podłużnych brzegach prześcieradła obrabią się dziurki służące do zapinania na guziki przyszyte do pasów elastycznych, tak długich jak szeroki jest materac.

N. 33—34 Poszewka i prześcieradło zdobne koronką i kokardami.

W miejsce guzików które nie są bardzo praktyczne, bo wyrywają się bardzo łatwo, jeźli dziurki w prześcieradle nie odpowiednio są obrobione — podajemy sposób praktyczniejszy i bardzo elegancki przywiązywania prześcieradła. Potrzeba wziąść kawałki wstążki po 60 cent. długie i przyszyć je przez środek do kołdry, tak daleko od brzegów jak zachodzi obręb od prześcieradła; końce wstążki puszczone wolno przewłóczą się przez dziurki obrobione w prześcieradle i zawiązują na kokardę. Poszewka odpowiednio do prześcieradła związana w rogach kokardami.

N. 35—37. Prześcieradło i poszewka ze wstawkami.

Na ryc. 37 daliśmy próbkę wstaweczki szydełkowej, którą zastąpić można stosownie do gustu wszywką koronkową lub haftowaną. Prześcieradło szeroko wyłożone u góry, z trzech innych stron jest podszyte od spodu kołdry tak, że tylko obręb jest wysunięty.

N. 38. Kaftaniczek dla dziecka.

Uszyty z batystu formą puszczoną, ma kołnierz i mankiety złożone ze wszywek 2 c., falbanek haftowanych 3 cent. i bufek batystowych 3 cent. szerokich.

N. 39. Kapelusz objęty aksamitem.

Cienki biały słomkowy kalusz ma rondo objęte bufą z ciemno heljotropowego aksamitu, 8 cent. szeroką, która od spodu przyszyta jest jaśniejszą atłasową listewką. Eleganckie przybranie główki słada fantazyjnie przerzucona barbka z hiszpańskiej koronki, 20 cent. szeroka, przypięta złotemi szpilkami i bukiet maków cieniowanych.



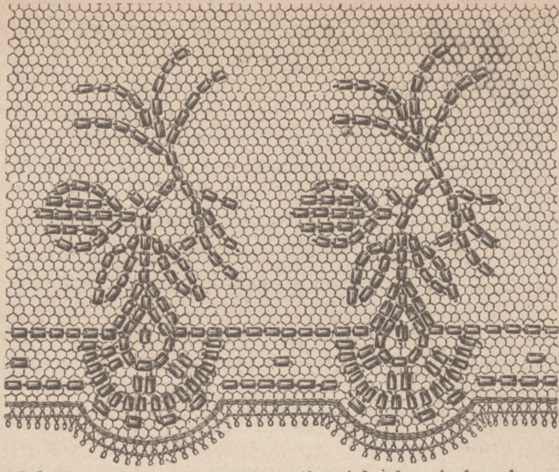
N. 1. Kołderka do wózka dziecinnego albo do kolebki. Robota szydełkowa i krzyżowa. Patrz próbki na ryc. 40 i 41 w N. 36.

N. 2. Suknia ze stanikiem z baskiną i draperyą na spódnicy. Przód z odmiennym garnirunkiem na ryc. 12.

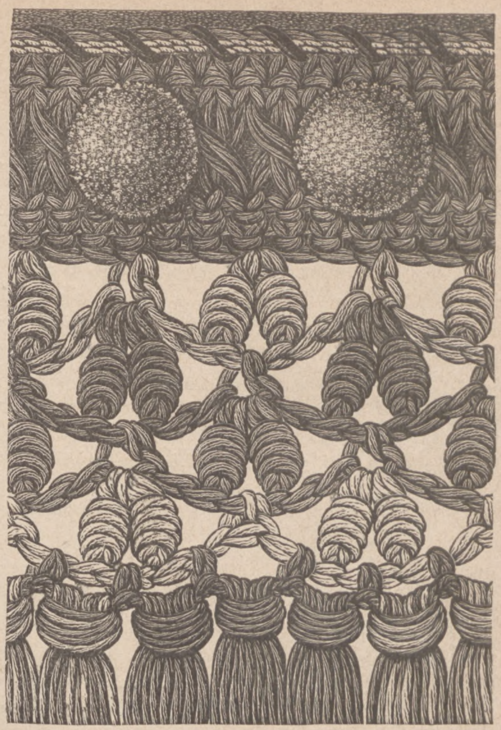
N. 3. Suknia z przemarszczanem vêtement.



N. 6. Frendzla szydełkowa do torebki ryc. 5.



N. 4. Koronka wyszywana perełkami do ubrania kapeluszy, sukien, chusteczek i t. p. Patrz inne desenie na takie koronki fig. 67—69 na arkuszu z krojami.



N. 7. Frendzla szydełkowa do przykrycia na ławkę do okna ryc. 8. Próbka roboty torsady ryc. 4 i 5 w N. 36.

N. 41. Kapelusz hiszpański „Bolero”.

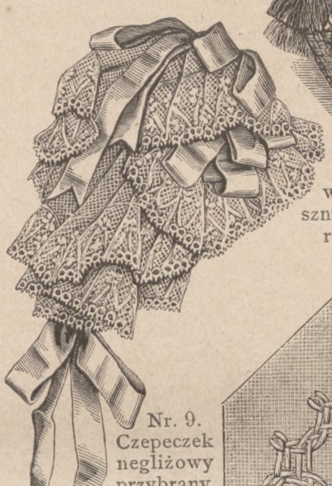
Kapelusz „Bolero” z fantastycznie zarzuconym szalikiem z hiszpańskiej koronki, stanowi dystyngowaną nowość tegorocznego lata. Szalik koronkowy liczy 175 c. długości a 21 szerokości i przypięty jest bukietami różnokolorowych róż.

N. 42. Suknia ze stanikiem z baskiną.

Odpowiednia dla młodej osoby, uszyta jest z blado-różowego zefiru i zdobna koronką 5 cent. szeroką. Spódnicę zdobią dwie falbany po 18 cent.



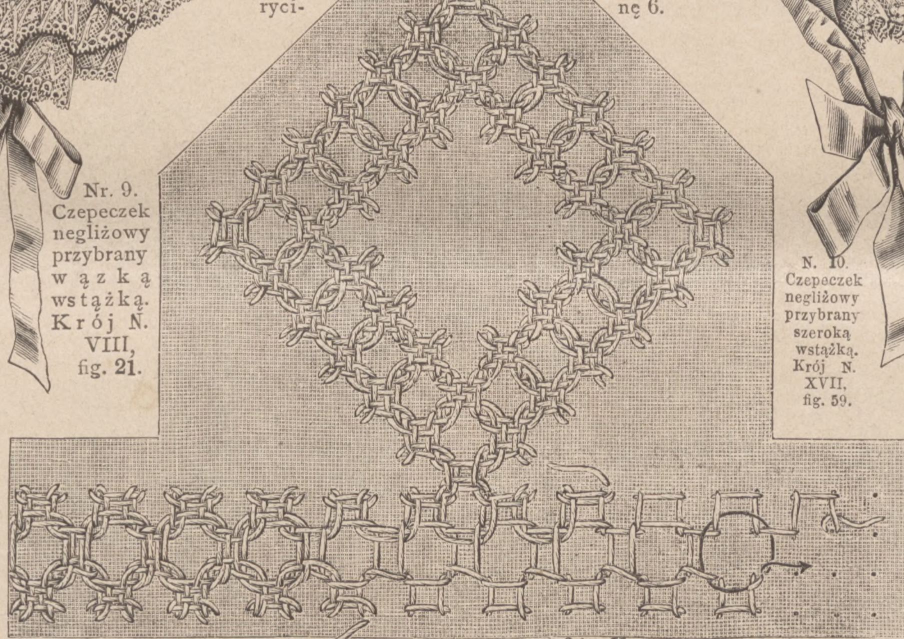
N. 5. Torebka ręczna ozdobiona frendzlą szydełkową z niścianego sznureczka. Patrz rycinę 6.



Nr. 9. Czepeczek negliżowy przybrany wązką wstążką. Krój N. VIII, fig. 21.



N. 10. Czepeczek negliżowy przybrany szeroką wstążką. Krój N. XVII, fig. 59.

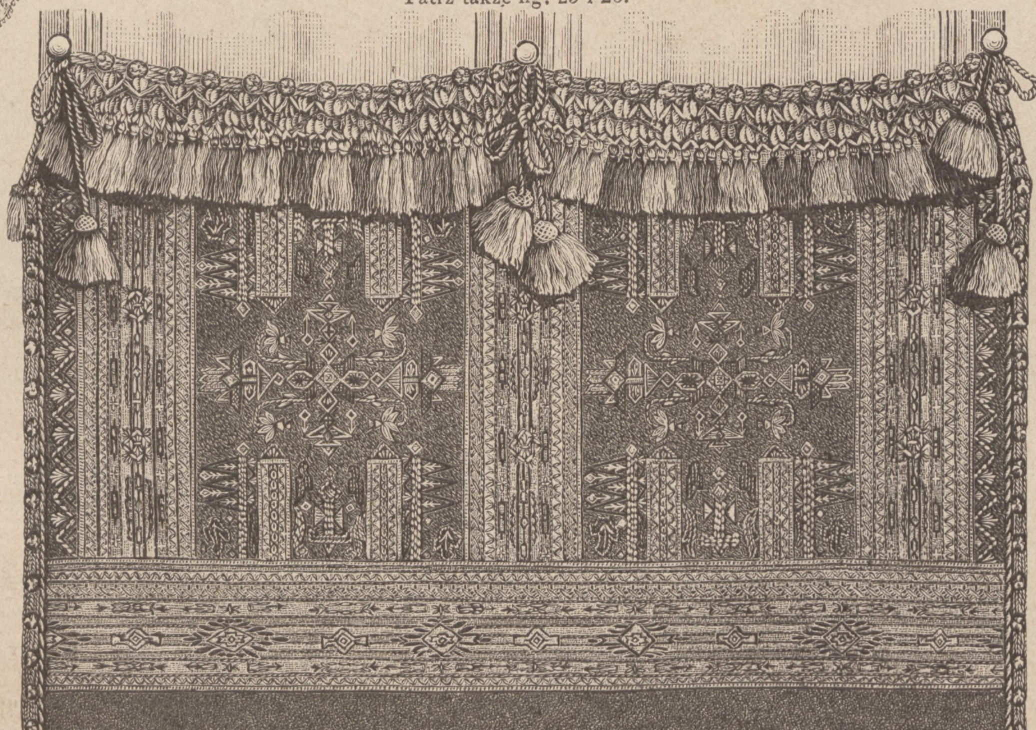


N. 13. Kwadrat i szlaczek oddzielający figury na ryc. 2 w N. 36. Haft ściegiem plecionym. Patrz także fig. 25 i 26.



N. 11. Suknia z przemarszczanym stanikiem. Przód na ryc. 31. Krój N. I, fig. 1—6.

szerokie, wyżej zaś rodzaj plis wyciętych w proste zęby, podgarnirowanych plisowaniem i koronką. Tunika z przodu bardzo króciutko sfałdowana, z tyłu podpięta w trzy odstające bufy. Stanik przewiązany wstążką zastępującą pasek, ma przody i rękawy złożone w płaskie fałdy. Plastron koronkowy układa się na gładkiej podszewce i przypina z jednej strony na niewidoczne haftki, a z drugiej przyszywa na staniku.



N. 8. Przykrycie na okno. Haft kolorowy i frendzla szydełkowa. Patrz ryc. 7 oraz 4 — 6 w N. 36.

N. 43. Suknia ze stanikiem à panier.

Efektowniejszy od perkalu z drukowanemi szlakami jost miękki materyał zwany zefir, ze szlakami haftowanemi na maszynie. Na przodzie spódnicy garnirunek naszyty okrągława, z tego powodu boki muszą być przysłonięte oddzielnym wolantem stopniowej szerokości. Garnirunek składa się z danych naprzemian falban po 28 cent. szerokich, przemarszczanych w poałowie szerokości i z wolantów haftowanych 10 cent. szerokich. Z tyłu sukni



N. 12. Suknia ze stanikiem z baskiną. Tył sukni z odmiennym garnirunkiem. Patrz ryc. 2.

dane falbany po 17 cent. szerokie, garnirunek przedni w górze zakończa riusza składana w potrójne kontrafałdy; przyciśnięta pliską. Tylny bryt draperyi zakończony haftem u dołu, podpięty w buty, u dołu rozchodzi się w dwa końce. Część panier przy staniku dodane z oddzielnych kawałków po 33 cent. szerokich. Środkiem przodów dany przemarszczany plastron; kołnierz wykładany i przybranie rękawów ułożone z haftowanych szlaków i kokard.

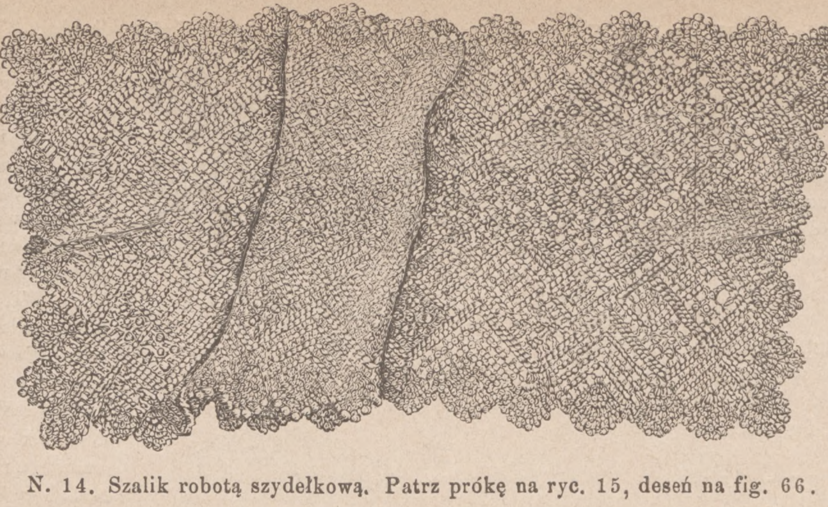
Opis do N-ru 35.

N. 2 i 12. Suknia letnia ze stanikiem z baskiną i draperyą.

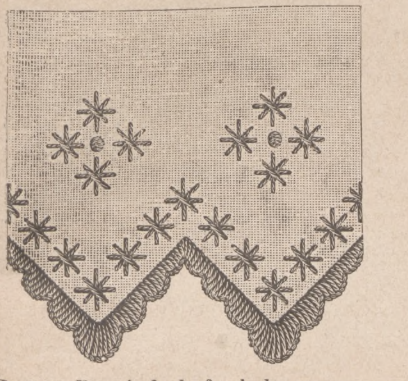
Przód spódnicy garnirowany jest koronkowemi i na materyale sukni haftowanemi falbanami, albo też plisowaniem i marszczonemi, kolorowo stębnowanemi falbankami, nad któremi dana w górze draperya. Na brytach tylnych sute bufiaste upięcie. Stanik ozdobiony garnirunkiem chusteczkowym.

N. 3. Suknia z vêtement przemarszczanem.

Do gładkiej w koło fałdowanej spódnicy, dodane vêtement z materyału wrzucik, z przodami przemarszczanemi, u dołu zręcznie podpinane i kokardami ozdobione.

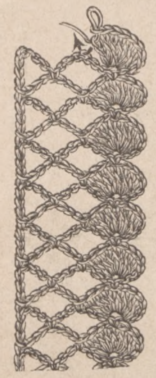


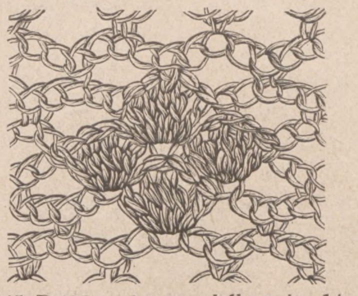
N. 14. Szalik robotą szydełkową. Patrz próbę na ryc. 15, deseń na fig. 66.



N. 16. Deseń do haftu kolorowego do ryc. 22 w N. 36.

N. 18. Koronka szydełkowa, robiona poprzecznie tam i napowrót.

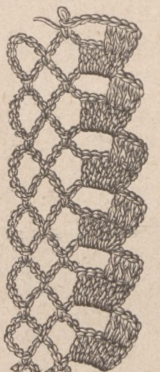




N. 15. Próbka roboty szydełkowej, r. 14.



N. 20. Wstawka szydełkowa robiona przy mignardine, w dwóch połowach oddzielnych łączonych w środku przy obrabianiu drugiego rzędu w drugiej połowie.



N. 19. Koronka szydełkowa, robiona poprzecznie tam i napowrót.



N. 17. Deseń do haftu kolorowego, do ryc. 22 w N. 36.

N. 4. Koronka wyszywana perełkami, do garnirunku sukien, kapeluszy i t. p. Deseń na arkuszu z krojami fig. 67—69.

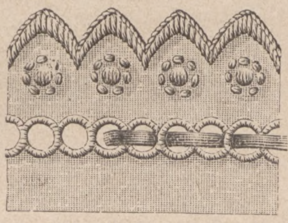
Na ryc. 4 dajemy w naturalnej wielkości próbkę koronki wyszywanej na czarnym tiulu, czarnemi rzniętemi perełkami, do których można dodać szlifowanych perełek stalowych. Koronka może być także wyszyta białemi perełkami na tle białem albo kolorowemi lub stalowemi i złotemi na tiulu czarnym lub białym. Pikoty z brzegu przyrobić ściegiem łańcuszkowym, jedwabiem lub nitką złotą. Na fig. 67 dajemy w zmniejszeniu inną próbkę koronki, do której jeden ząb deseniu w naturalnej wielkości na fig. 68; inny deseń do takiej roboty na fig. 69. Deseń rysuje się na mocnym, grubym papierze, na którym się tiul gładko naszywa.



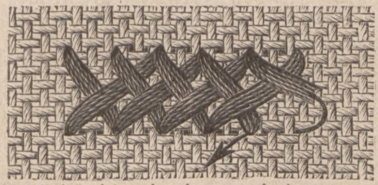
N. 21. Haft atłaskowy na karczek do koszuli. Patrz ryc. 29 w N. 36.

N. 5—6. Torebka ręczna ozdobiona frendzlą szydełkową, robioną z cienkiego sznureczka i szarych nici.

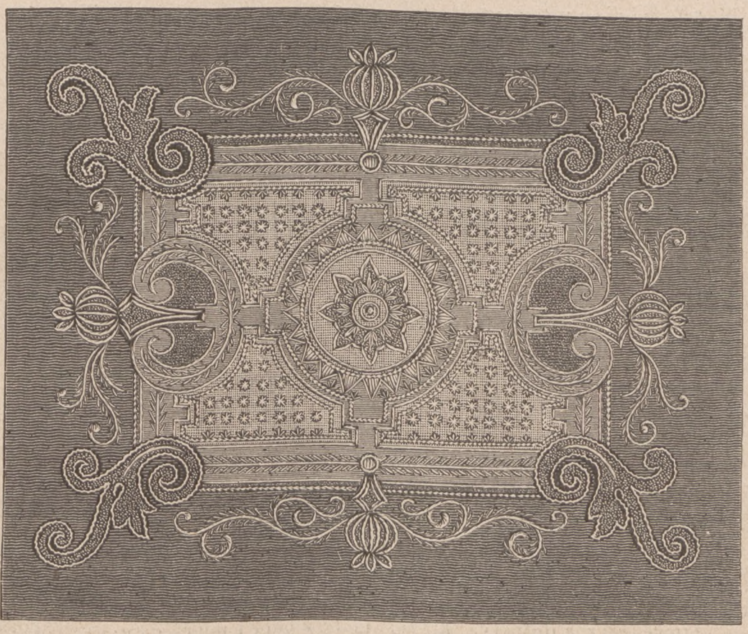
Pomiędzy 2 kawałki sztywnej tektury, mające 16 cent. wysokości, a 7 szerokości, u dołu trochę zaokrąglone, z wierzchu pokryte szarą płócienną kanwą, z brzegów objęte wypustką bordo, wszywa się na boki i dno torebki sfałdowany pas tażkiejże kanwy, mający 16 c. szerokości a 72 długości. Podszewka, wypustki i górny woreczek mający 64 cent. obwodu a 18 wysokości, są z kaszmiru koloru bordo. Woreczek ściąga się na sznurki zakończone kulkami z włóczki; uszy 14 cent. długie, są z grubego sznura z nici szarych i włóczki bordo. Na ryc. 6 dajemy w naturalnej wielkości próbkę frendzli robionej ze sznureczka, a ozdobionej włóczką bordo, którą zaczyna się luźnym łańcuszkiem odpowiedniej długości, obrabianym z obydwóch brzegów ząbkami łańcuszkowemi. Zęby dolne zapełnia stopniowanej długości ścieg dziergany; robiony na dwie strony od środka, a z boków zajmowany za pentelki zębów. Kwasty włóczkowe.



N. 22. Brzeżek do karczku do koszuli, ryc. 29 w N. 36.



N. 24. Próbka ściegu krzyżowego, plecionego, zwanego perskim, do ryc. 37 w N. 36.



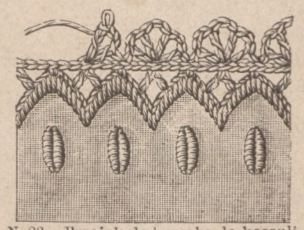
N. 26. Fotel albo poduszka do kanapy. Haft kolorowy i aplikacja. Deseń na fig. 65.



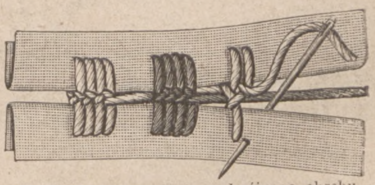
N. 27. Szlak robiony ściegiem krzyżowym, włoskim, przejrzystym.

N. 7—8 i ryc. 4—6 w N-rze 36. Przykrycie na ławkę do okna, ozdobione wyszyciem kolorowem i frendzlą szydełkową. Materyał: flanela szafirowa, bórty kolorowe, włóczka hamburska czarna, dwa cienie ponsowe (pompejańskie), trzy cienie trawno-zielone, bronzowe i jasnoniebieskie.

Bórty fabrycznie tkane 10 i 4 cent. szerokie, wyszywane kolorem niezbyt jaskrawym ponsowym, niebieskim, żółtym i białym, łączą w środku i otaczają po brzegach, dwa pasy z flaneli szafirowej, ozdobione haftem kolorowym. Z brzegów dane paski pluszu $6^1/_2$ cent. szerokie, zakończone z boków wązką bórtą a w górze i u dołu oszyte frendzlą. Na arkuszu z krojami fig. 24, dajemy $^1/_4$ część deseniu do wyszycia na pasach flanelowych. Na ryc. 6 w N. 36 jest próbka naturalnej wielkości i wskazane ściegi wyszycia na bórtach szerokich. Pasy flanelowe wyszyte są różnemi pospiesznemi ściegami, grubą włóczką hamburską w kolorach i cieniach wyżej wskazanych. Nowość stanowi włóczka gruba sznureczkowa zwana włóczką koralową, widoczna na ryc. 6 i na fig. 24. Wyraźną próbkę torsady do frendzli, robionej na deseczce lub tekturze, z włóczki hamburskiej, w kolorach użytych do haftu, dajemy na ryc. 4 i 5 w N. 36. Lewą stronę obraca się do wierzchu i zdobi nasytemi kulkami z ciętej włóczki. Frendzla składa się z ząbków łańcuszkowych i pikotów 4 i 5 razy na szydełko nawijanych i zrabianych jedną pentelką, każden rząd ząbków robi się innym kolorem. Na modelu rząd pierwszy był zielony, drugi ponsowy, trzeci szafirowy, czwarty niebieski, piąty do przywiązania kwaścików z włóczki mieszanej, znów zielony.



N. 23. Brzeżek do karczka do koszuli, r. 29 w N. 36. Haft i robota szydełkowa.



N. 25. Sposób spajania podwójnego obrębu. do ryc. 37 w N. 36.

N. 9. Czepeczek negliżowy ubrany wązką wstążką. Krój N. VIII fig. 21.

Czółko przykroić ze sztywnego tulu podług fig. 21, denko stanowi owal tiulu oszyty koronką, mający 35 c. długości a 44 szerokości, w środku zaszyty w dwie 4 c. szerokie stykające się fałdy, dalej układa się wachlarzowo i przyczepia do brzegu czółka, 1 ułe z 2 c.



szerokiej, blado-żółtej wstążki atłasowej, wpinane między koronkę, kokarda w kształcie motyla przypięta nad czołem i szarfy z tejże wstążki przyszyte do brzegów czółka i z tyłu pod koronką związane, stanowią ubranie czepeczka.

N. 28. Sukienka z fałdami dla małej dziewczynki. Krój N. II, fig. 7—10a.

N. 10. Czepeczek negliżowy ubrany wstążką szeroką. Krój N. XVII, fig. 59.

Denko przykrojone z cienkiego tiulu, podług fig. 59, przyfałdować od gwiazdki do dwukropka i wszyć do czółka oszytego agremanem, zrobionego z prostego paska tiulu w kółko zeszytego, mającego 3 c. szerokości, a 44 obwodu. Ubranie czepeczka stanowią wolanty w kontrafałdy składane, ze wstążki blado różowej, 5 c. szerokiej, z których trzy naszyte są na denku z tyłu wolno puszczonem, w ten sposób, iż dolny w połowie za brzeg denka wystaje; czwarty wolant do twarzy obrócony, naszywa się na czółku ogarnirowanem koronką. Z przodu przypięta duża kokarda, z pod której wychodzą dwie przewinięte wstążki, z tyłu na kokardę związane.

N. 11 i 31. Suknia ze stanikiem przemarszczanym. Krój N. I, fig. 1—6.

Na fig. 1—5 dajemy formę gładkiej podszewki stanika, na której układa się zwierzchni materyał gęsto przemarszczany. Na marszczki trzeba znacznie dodawać materyału, którego ilość oznaczona jest na małym modelu fig. 1a—4a, gdzie także cienkie linijki wskazują, dokąd



N. 30. Suknia z vetement.

N. 31. Suknia z przemarszczanym stanikiem i draperją na spodnicy. Plecy i krój patrz ryc. 11.



N. 32 i 33. Dwie szerokie krawatki.

zmarszczki dochodzić powinny. Przody na wcięciu w pasie 10 razy przemarszczone, poniżej ułożone są w fałdy i wolno puszczone. Plecy od wcięcia w pasie ku dołowi szeroko przemarszczane, w baskinie są podług krzyżyków i punktów z boku sfałdowane, następnie sposobem na ryc. 11 wskazanym gwiazdką do gwiazdki złożone i w górę podpięte, nakształt końców chusteczki, koronką oszyte. Spódnica u dołu oszyta jest dwoma plisowanemi wolantami, w górze kilka razy przemarszczanemi, w górze ozdobiona zręczną draperyą, której mały model i miary dajemy na fig. 6; *a* przedstawia połowę w krótką draperyę ułożonego przedniego bryta, któren w części przykrywa z jednego boku upięcie z bryta *b*. Ten ostatni jest w górnym brzegu zmarszczony do 23 cent. długości i zaczynając od środka przodu na draperyi przyszyty, u dołu zaś sfałdowany, w górę odwinięty w ten sposób iż podszewka materyalna idzie na wierzch i przyszyty gwiazdką do gwiazdki, *c* oznacza połowę prostego bryta tylnego, któren upina się sposobem wskazanym na ryc. 11. Model odrobiony był z materyi jedwabnej i kaszmiru. Kokardy ze wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.

N. 14—15. Szalik robotą szydełkową z włóczki cienkiej mohair.

Biały włóczkowy szalik mający 66 cent. szerokości, a 177 długości, zaczyna się od środka łańcuszkiem 120 c. długim, obrabianym następnie z obudwóch stron. Ponieważ opis roboty byłby niezmiernie długi a mimo to nie dośc jasny, dajemy więc na fig. 66 deseń, któren daleko łatwiej zrozumieć, a na ryc. 15 załączamy próbkę ściegu w naturalnej wielkości. Tło stanowią ząbki łańcuszkowe złożone z trzech oczek powietrznych, przyrabianych jednem oczkiem ścisłem, a deseń układa się z muszek, na które daje się 5 słupków w środkowe oczka ząbka. Na deseniu muszki przedstawiają kratki matowe, a ząbki kratki przezroczyste, licząc jedną kratkę na muszkę, lub ząbek Na fig. 66 dajemy narożnik i połowę szlaku poprzecznego, oraz część szlaku podłużnego i środka, te ostatnie powtarza się $6^1/_2$ razy. Ząbki brzeżne złożone ze słupków przedzielanych oczkam powietrznemi, zbyt są znane i nie potrzebują opisu.

(*D. n.*)



N. 29. Sukienka dla dziewczynki lat 5—7. Krój jak do ryc. 28.



N. 37. Ubranie z szalem z jedwabnej gazy.



N. 35. Ubranie z szalem z koronki hiszpańskiej.